

Andrzeja Muszyńskiego „Miedza”



Kiedyś wychodziło się wieczorem na wieś z rękami w kieszeniach i stawało się co chwila na drodze, żeby z kimś pogadać. Teraz to rzadkość i dlatego „Miedza” to „nawet nie nostalgia, ale wręcz złość, że się pusto robi, że przycicha, że wieś jest pusta i tylko wiatr hula w lewo w prawo, w lewo w prawo”



Miedza jest nieodłączna od pola. Stanowi rozdzielenie, ale i zarazem łącznik między sąsiadami. Podkreśla wartość ziemi, co widoczne jest w sporach chłopskich, jak o trzy palce zaoranego pola pomiędzy Kargulem i Pawlakiem w „Samych swoich”. Mickiewicz pisał w swojej epopei, iż „wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą zieloną, na niej z rzadka ciche grusze siedzą”. Z ekologicznego punktu widzenia ten pas niezaoranej ziemi pomiędzy polami uprawnymi to ważny czynnik różnorodności środowiska,

urodzenia było dla niego epicentrum myśli i wydarzeń, a „obce terytorium zaczynało się już za wygonem”. I oto ten wiejski chłopak, wychowany daleko od szosy, skończył studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, po czym porzucił aplikację i wyruszył na naprawdę obce terytoria: do południowej Azji, Ameryki Łacińskiej i Afryki. Prowadził agencję podróżniczą, pisał reportaże z wypraw. W końcu powrócił na swoją wieś, osiadł na niej, napisał i wydał w roku 2013 „Miedzę”, określaną jako „czułą i szczerą gawędę o pustych polach i wymarłych wsiach, o ostatnim chłopie i ostatniej miedzy - o świecie, który ginie, bo nie nadąza za pędem nowoczesności i nie umie zrezygnować ze swoich wartości”.

siedlisko wielu roślin i miejsce pobytu zwierząt, a dla pliszki żółtej nawet gniazdowania. Na miedzy można było usiąść, żeby odpocząć. Miedzą można było też iść, wśród pól - gdy jeszcze się tam chodziło.

„Miedza” to zbiór opowiadań Andrzeja Muszyńskiego, przedstawiający świat gdy właśnie jeszcze się chodziło wśród pól. Książka powstała z niezgody autora na to, że nie ma już dawnej wsi. Kiedyś, jak mówi Muszyński, wychodziło się wieczorem na wieś z rękami w kieszeniach i stawało się co chwila na drodze, żeby z kimś pogadać. Teraz to rzadkość i dlatego „Miedza” to, jak autor mówi, „nawet nie nostalgia, ale wręcz złość, że się pusto robi, że przycicha, że wieś jest pusta i tylko wiatr hula w lewo w prawo, w lewo w prawo”. Opowiadania te naładowane są emocjami, pisane od serca, ale jednocześnie w złości na zmiany które zaszły na wsi; autor podszedł do nich, według własnych słów, „jak z dzidą”.

Kim jest ten zbuntowany opisywacz wsi? Andrzej Muszyński urodził się w roku 1984 w Krzykawie, małej wsi w okolicy Pustyni Błędowskiej, w ramionach Białej i Czarnej Przemszy. Jak wspomina, do szesnastego roku życia w ogóle nie znał miasta: „kiedyś we wsi wystali mnie na drogę czatować na pekaes i zapamiętać jego numer. Zapamiętałem ten serjny. Niespecjalnie mnie to wszystko interesowało”. Miejsce

Fot. wikipedia.org

Zenon Marian Lason, Słupsk

LIPCOWY DZIEŃ

*W lipcowym skwarze
na ławce przy stawie
drzemie starsuszek
z laską i psem kudłatym
przy nogach*

*Nad wodą jaskółki
pętlami splatają brzegi
i malują radość
wrzaskliwych wakacji*

*Kolorowe ważki nad trzciniami
jak dwupłatowce
dokonują zwiadu*

*W senne południe
lipiec brzęczy pszczołami
w spiekocie i zapachu lipy*

*Daleko na horyzoncie
lipcowa burza jękiem przemawia
z niebios
do spragnionej ziemi*



„Miedza” Andrzeja Muszyńskiego to zbiór dziewięciu opowiadań. Jedno z nich, „Trawy, trawy, zimne gruszki” zostało uznane za najlepsze opowiadanie roku 2012 na Międzynarodowym Festiwalu Opowiadania we Wrocławiu. Otwieramy w środku tekstu, a tam zagadkowa historia:

„Chodziliśmy wtenczas po polach, wte i wewte, bo zrywaliśmy ostatnie warzywa i taczkami je zwozili do piwnicy. Chrustu się trochę zbierało, trochę paliło. Latało się po tym sadzie na gazie, klepiąc trepami. I nagle, i wtedy. Idąc prosto przez sad, wpadam prawie na samym środku drogi w ścioraną reklamówkę, a w środku pełno zimnych gruszek.

*Ki diabeł?
Kto to zostawił?
Na co?
I na wypadek jej nie tknąłem.*

Ale idę na dzień drugi i patrzę, a tam znów ta reklamówka, ale parę kroków dalej. Już widzę, skąd te gruszki, z ostatniej gruszy w sadzie i przesuwane, co dzień trochę bardziej w stronę domów.

*Bo dzień później zaś ją widzę parę kroków dalej.
Dzień później - zaś przeniesiona ze trzy kroki.
Dzień później - zaś.
I ki diabeł, znów do siebie szepczę.
Na co to komu?
Po co?”*



sosny. Nie wierzyliśmy. Zawiązaliśmy tego dnia o zmierzchu wysoko na sośnie czerwoną wstążkę, wróciliśmy w strachu już prawie nocą. Czekaliśmy na północ. Marek stał przy wejściu do lasu, był nów. Spojrzeliśmy mu w oczy. - Jak wczoraj tam byłeś, to udowodnij, przynieś wstążkę, trzymaj latarkę. Przyniósł”.

Te historie opowiadane są przez Andrzeja Muszyńskiego tak jak dawniej bywało na wsi, gdy w kuchennej izbie zbierali się wieczorem domownicy i - często - sąsiedzi, i snuły się takie i inne opowieści. O tym, co przydarzyło się na swojej wsi, na drugiej i trzeciej, to co zdarzyło się niedawno i to co zostało przechowane w pamięci przez dziadków i babki. A już świętem było, gdy ktoś powracał do wsi z podróży: „Opowiadaj, opowiadaj co o tym świecie, jak to tam jest? - Ojciec prostował się na krześle i tupał w płuca powietrze, oczekując dobrej odpowiedzi. Ten, kto wrócił z podróży, jest winny gawędę. Wrócił i musi mówić. Pragnęli opowieści”. A opowiadanie i słuchanie musiało odbywać się jak należy. W skupieniu, bez pośpiechu. Jak w opowiadaniu „Mąka”, gdzie młody jest niecierpliwy, trzeba go nauczyć, jak to jest z opowieściami: „Coś ty, młody, taki dopolony? Siadaj i siedź. I słuchaj. Ja cię nauczę słuchać. Ale w piecu mi najpierw nahajczysz. Na zapiecku se siadź, jak ci zimno, ale dołoż jeszcze tych brzózek do pieca. I słuchaj, zaraz ci wszystko opowiem”.

Muszyński wskazuje na przemijanie dawnej kultury chłopskiej. Przywołując jedną z historii opowiadanych przy przebieraniu ziemniaków, wyraźnie podkreśla, że jest to „jedna z wielu opowieści wypowiadanych przy odchodzących w niepamięć czynnościach tego świata: łusaniu fasoli, darciu pierza, kręceniu kiszek, ubijaniu kapusty”. W opowiadaniu „Bioty” mówi do nas „kronikarz kultury śmierci”, która „szturmuję szare, wygaste wieś”. Bo teraz wieś, jak czytamy na kartach książki Andrzeja Muszyńskiego, „zamieniła się w kamień, oblekli ją murem, ludzi poziewało, a wieś stała się miastowsią, cmentarzem porośłym tujami”. I jeszcze to, co usłyszał młody z Mańkiem: „Z dali niósł się dźwięk piły. Kiedyś w niedzielę nikt tego nie robił”.

Odchodzi zatem w niepamięć dawna wieś, ale jej część pozostaje na stronach „Miedzy”, strzeżona przez siedzą-

cego na ławce staruszka. On bowiem, w opowiadaniu „Ławka”, sam jeden nie pozwolił rozprzestrzenić się wszechobecnemu brukowi i wyrugować swego siedziska sprzed domu. Jak to bowiem, gospodarz bez ławki? Ale to nie wszystko, bo stary dalej tłumaczy: „Bo jo wom coś powim. Se to zapamiętaj na całe życie. bo kożden musi mieć w życiu swojo ławke i kożden jej musi pilnować. Kożden musi swoje w życiu przesiedzieć. Kożden musi umieć i mieć gdzie czekać”. Staruszek ma w sobie pamięć dawnej wsi, ale ocalić ją może też młody. Jak może zachować to co odchodzi w niepamięć? „Mieszkam w miastowsi z dziadkami. Kłócimy się fest, ale nikt nie planuje uciekać. Spisuję od babki przepisy i zawsze oddaję, co pożyczę. Umiem robić bigos i tego uczę moje dzieci. Chodzimy do kościoła i żegnamy się przed obiadem. Niewiele mówię i lubię posłuchać. Wiosną sieję, jesienią orzę”. Tak jak należy.

Dla Andrzeja Muszyńskiego pisanie to jedna z najistotniejszych rzeczy w życiu, a wieś to temat najważniejszy, obok powiązanych z nią przestrzenią, naturą i przyrodą. Pisarz mówił, tuż po wydaniu „Miedzy”, że ma pomysły na książki na kolejnych dziesięć lat. Po dwóch latach, w roku 2015, ukazało się „Podkrzywdzie”.

**Jolanta Betkowska
Słupsk**



Był jednym z najbardziej lubianych i cenionych polskich aktorów komediowych i dramatycznych. Zastąpił, jako aktor charakterystyczny w bardzo atrakcyjnym na ówczesny czas serialu „Czterdziestolatek” w latach 1975-1977 i nakręconym w 1993 roku „Czterdziestolatku 20 lat później”. Zagrał też rolę Romana Maliniaka w filmie „Motylem jestem, czyli romans 40-latka” z 1976 roku



Legendarny Maliniak z „Czterdziestolatka”

Roman Kłosowski, urodzony 14 lutego 1929 roku w Białej Podlaskiej, zmarł 11 czerwca br. w Łodzi. To artysta filmowy i teatralny, reżyser oraz pedagog. Ukończył Wydział Aktorski w 1953 roku oraz Wydział Reżyserii Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie w 1965. W teatrze zadebiutował 1 września 1953. Jego rolami dyplomowymi był Puk w „Śnie nocy letniej” Williama Szekspira w reżyserii Jana Kreczmara oraz Edek i Kolega w „Pannie Maliszewskiej” Gabrieli Zapolskiej w reżyserii Janiny Romanówny. Na deskach zawodowego teatru zadebiutował w Teatrze Polskim w Szczecinie, w spektaklu „Szczęście Frania” Włodzimierza Perzyńskiego. Od 1955 roku był aktorem Teatru Dramatycznego w Warszawie, gdzie występował w spektaklach Konrada Swinarskiego, Lidii Zamkow, Bohdana Korzeniewskiego i Ludwika Rene. W latach 1976-1981 był dyrektorem naczelnym i artystycznym Teatru Powszechnego w Łodzi, a także wykładowcą Wydziału Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Jego najbardziej znaną rolą na deskach Teatru Powszechnego była tytułowa rola w „Szwajku” Jaroslava Haška w reżyserii Janusza Zaorskiego, zagrana w 1976 roku.

Na ekranie zadebiutował również w 1953 roku w filmie „Cień” w reżyserii Jerzego Kawalerowicza oraz w „Pierwszym dniu wolności” w reżyserii Aleksandra Forda. W obu tych filmach wystąpił w rolach pierwszoplanowych, zauważonych w konkursach głównych 9. i 18. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Cannes. Od 1981 roku pracował w Teatrze Syrena w Warszawie. Jego pożegnaniem z widzami była rola Krappa w „Ostatniej taśmie” Samuela Becketta na deskach Teatru im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim. Zakończył karierę ze względu na prawie całkowitą utratę wzroku.

Żoną aktora była przez 58 lat Krystyna, która zmarła pięć lat wcześniej, bo w czerwcu 2013 roku. Synowa Barbara Szczęśniak również jest aktorką. Otrzymał wiele nagród i wyróżnień, m.in. na VI Kaliskich Spotkaniach Teatralnych w 1966 roku - za reżyserię „Kamiennoświata” Juliusza Osterwy w teatrze w Gorzowie Wielkopolskim, nagrodę II stopnia na XVI Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu w 1975 roku - za reżyserię przedstawienia „Czarna róża” Juliana Strykowskiego w Lubuskim Teatrze im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. W 1976 roku Roman Kłosowski otrzymał nagrodę Prezesa Komitetu Radia i Telewizji za kreację w filmach Telewizji Polskiej. W 1978 - nagrodę Komitetu ds. PRiTV za kreację aktorską w serialu „Czterdziestolatek”. W 1979 - nagrodę Prezesa Rady Ministrów I stopnia w dziedzinie teatru z okazji 35-lecia PRL - za kreacje aktorskie w teatrze,

telewizji i filmie. W 1987 roku otrzymał znowu nagrodę Przewodniczącego Komitetu ds. PRiTV za kreacje aktorskie w filmach telewizyjnych, a zwłaszcza w filmie „Big-Bang”. W 1989 został laureatem nagrody miasta stołecznego Warszawy. W 2001 roku na V Festiwalu Filmowa Komediowych w Lubomierzu otrzymał Kryształowy Granat, a w 2009 na XVI Ogólnopolskim Festiwalu Sztuki Filmowej „Prowincjonalia” - nagrodę honorową za całokształt twórczości. W uzasadnieniu tej ostatniej nagrody czytamy: „za pogodę ducha, której nie grozi żadna „Hydrozagadka”, za łatwość, z jaką widzowie kupują każdą jego rolę - wszak sprawny z niego „Kramarz”, za wyjątkowość, bo każda jego kreacja to prawdziwy „Big Bang”, który sprawia, że myślimy „Ja kocham, ty kochasz”, i za to, że choć nie jest już „Czterdziestolatkiem”, wciąż prezentuje „Pełnię” swoich talentów, czego Organizatorzy i widzowie sobie nadal życzą, bo to przecież „Jeszcze nie wieczór”.

Roman Kłosowski wielokrotnie otrzymywał za swoją działalność wysokie odznaczenia państwowe. Uehonorowany został m.in.: Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1970), Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (1978), Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2013).

Z najwyższymi honorami został pochowany 18 czerwca br. w Alei Zasłużonych na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie. Na jego pogrzebie pojawili się między innymi - reżyser „Czterdziestolatka” Jerzy Gruza oraz przyjaciółka aktora Teresa Lipowska. Znamienne były słowa pani Teresy: „Byłam z nim do końca. Mało kto wie, jaki to był człowiek. Całym swoim życiem kochał ludzi. Cudowny, ciepły kochający i optymistyczny. W najgorszych momentach życia zachował optymizm. Na dwa dni przed śmiercią przytomnie recytował piękne liryki dla żony. - Romku, dziś Kryścia Cię tam przyjmuje” - powiedziała w trakcie uroczystości wzruszona aktorka.



Fot. wikipedia.org

Włodzimierz Lipczyński
Słupsk

Na podstawie: wikipedia.org/wiki/Roman_Klosowski

Kochana Polskę

Mało jest pisarzy o tak wypełnionej misji patriotycznej, jaką była działalność literacka Barbary Wachowicz. Była nie tylko pisarką, także historykiem literatury, fotografikiem, autorką i scenarzystką wystaw, spektakli, programów telewizyjnych oraz radiowych

Barbara Wachowicz była mistrzynią mowy polskiej, dbała o czystość języka polskiego, o słowo w przekazach medialnych. Zawsze była pełna młodości, aktywnej pracy społecznej. Urodziła się 18 maja 1937 roku w Warszawie i tutaj zmarła 7 czerwca br. Dzieciństwo spędziła w dworku Krzymosze - Bajki na Podlasiu. Wychowywała się w patriotycznej tradycji rodzinnej. Rodzice byli żołnierzami 9. Podlaskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. W 1962 roku ukończyła Wydział Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego, a rok później - Studium Historii i Teorii Filmu w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej w Łodzi. Była polską pisarką o głębokich przekonaniach patriotycznych. Wyróżniła się jako autorka licznych biografii wielkich Polaków, a szczególnie dała wyraz w swojej twórczości, przybliżając bohaterów Powstania Warszawskiego. Pisała o ich zrywie niepodległościowym do walki z okupantem i o heroicznej śmierci.

Pracę rozpoczęła jako dziennikarka i publicystka. Była uznana za bardzo poczytną autorkę ciekawych reportaży pisanych do ówczesnej poważnej prasy i periodyków kulturalnych. Tygodnik „Ekran” w latach 1959-1972 zamieszczał jej recenzje i wywiady ze znanymi aktorami, m.in.: Shirley, Mac Laine, Kirkiem Douglasem. Pracowała też dla „Świata” w latach 1962-1964, „Przekroju” (1962-1993), „Stolicy” (1984-1999), „Kontrastów” (1988-1989), „Naszego Dziennika”. Pozostanie jednak w naszej pamięci, jako autorka licznych reportaży, opowieści, gawęd o życiu, twórczości, miłośności i tajemnicach wielkich Polaków. Pisała skróty monografie o luminarzach literatury i bohaterach narodowych. Od rębny jej zainteresowaniem były bohaterkie postacie polskiego harcerstwa, jako ideały i wzorce dla młodego pokolenia Polaków. Przez wiele lat współpracowała z mediami, jako autorka też scenariuszy filmowych i telewizyjnych, audycji radiowych, wystaw oraz widowisk scenicznych.

Wydarzeniem szczególnym w działalności pisarki było jej widowisko sceniczne „Wigilie polskie”. Do klasyki literatury zostały zaliczone jej znane reportaże historyczne: „Malwy na lewadach”, „Ciebie jedną kocham”. Była autorką książek o życiu: Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Henryka Sienkiewicza, Stefana Żeromskiego, Tadeusza Kościuszki, Fryderyka Chopina, Józefa Piłsudskiego. Do najważniejsze jej dzieł

można zaliczyć też „Marie jego życia”, „Rudy, Alek, Zośka. Gawęda o bohaterach: Kamieni na szaniec”.

Najważniejsze organizowane przez pisarkę okolicznościowe wystawy to: „W Ojczyźnie serce me zostało” - Szlakami Mickiewicza, Słowackiego, Chopina, Sienkiewicza, Orzeszkowej, Żeromskiego, Wańkowicza; „Nazwę Cię - Kościuszko!” - Bitewnym szlakiem Naczelnika w Ameryce; „Kamyk na szancku” - Opowieść o Druhu Aleksandrze Kamińskim i jego Bohaterach - Harcerzach Szarych Szeregów; „Henryk Sienkiewicz - Dla pokrzepienia serc”; „Zar słowa i treści rozsądek”; „Reduta Żeromskiego”.

Pisarka otrzymała licznie odznaczenia, nagrody i wyróżnienia. przyznane przez instytucje państwowe i pozarządowe. W lipcu 2006 roku otrzymała Honorowe Obywatelstwo miasta stołecznego Warszawy. W 2009, jako pierwsza osoba urodzona poza granicami Wielkopolski, została uhonorowana medalem wojewody wielkopolskiego „Ad perpetuam rei memoriam”. W 2018 została odznaczona Złotym Krzyżem Honorowym Związku Piłsudczyków. Uhonorowana ją także m.in.: Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1997) - za wybitne zasługi w pracy twórczej, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (2012) - za wybitne zasługi w działalności naukowo-edukacyjnej, osiągnięcia w pracy twórczej, Medalem „Polonia Mater Nostra Est” (2001) - za wyjątkowy dar przekazywania młodzieży skarbów narodowego dziedzictwa, Medalem „Pro Memoria” - za wybitne zasługi w utrwalaniu pamięci o bohaterach walki o niepodległość Polski, Medalem „Milito Pro Christo” i dyplomem „Benemerenti” - za nieustępliwą i konsekwentną promocję polskości, dawanie świadectwa prawdzie i sprawiedliwości. To także laureatka Nagrody im. J. Bruna dla młodych dziennikarzy, przyznanej przez SDP w 1966 roku, Nagrody Miasta Kielc - za działalność popularyzatorską związaną z ziemią rodzinną Stefana Żeromskiego (1975), Nagrody im. Henryka Sienkiewicza (1987) „Srebrny As Literatury Polskiej” (1987), tytułu Mistrz Mowy Polskiej Vox Populi (2001), Nagrody „Totus” - za osiągnięcia w dziedzinie kultury chrześcijańskiej (2012).

Barbara Wachowicz była członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, a jej mężem był scenograf teatralny i telewizyjny Józef Napiórkowski, żyjący w latach 1942-2000. Została pochowana w Alei Zasłużonych Cmentarza Wojskowego na Powązkach.

Włodzimierz Lipczyński
Słupsk
w.lipczynski@interia.eu

Przy opracowywaniu wspomnienia korzystałem z informacji zwartych w Wikipedii.



Fot. wikipedia.org



Fot. wikipedia.org

Franciszkowi Giereszowi - malarzowi z Gardny Wielkiej i Smołdzina

Zenon Marian Lasoń, Słupsk

OBRAZY MALOWANE SERCEM

Żyłeś tu i kochałeś
tę ziemię
Ojczyznę swoją - Polskę

Ze szczytu Rowokołu
ogłądałeś jej piękno
- jeziora, lasy
i morze, które śpiewało Ci pieśni
o wojennych losach

Twój dom rodzinny tulił Cię przez lata
i dawał Ci natchnienie
do twórczej wyobraźni

W barwach kolorów utrwalałeś ten świat
i odszedłeś...

Odszedłeś - pozostawiając swą Krainę
w rozterce

gdzie wiatr szemrze tęsknotą z rozpaczy
- pozostawiłeś obrazy malowane sercem
a deszcz w smutku wciąż za Tobą płacze

Gardna Wielka, 20 czerwca 2018 r

Anna Boguszewska, Słupsk

O MALARZU FRANCISZKU

Kiedy Pan Bóg rozsiewał talenty
Małe ziarenko z palety barw
Wiatr rzucił przed dom Giereszów
W Brześciu nad Bugiem

Kilka lat później
Mały Franuś odkrył
W sobie talent malarski
Zamek z fosą, nagie aniołki
Czemu nie?
Malunki podobały się

Po wojennych tułaczkach
Gdy kule świsnęły nad głową

Serce biło kłopotami
Przeżywszy piekło na ziemi
Żołnierz Franek osiedlił się
Nad pięknym jeziorem Gardno
W miejscu pełnym błękitu morza i jezior

Tutaj rozkwitał talent malarski
Jego serce malowało obrazy
Pędzłem pamięci i radością oczu
Na obrazach utrwalał swoje przeżycia
Z czasów wojny
Zauroczony nadmorską przyrodą
Malował na płótnie piękne
Zakątki leśne, wydmy, jeziora
Krajobrazy nadmorskie ziemi słupskiej

Dziś dla Ciebie Franciszku
Jednego z grona zasłużonych
Dla kultury ziemi słupskiej
W podziękowaniu za twój talent
Twórczość i patriotyzm
Bukiet kwiatów i garść wspomnień

Gardna Wielka, 20 czerwca 2018 r

Poezja zawsze jest protestem



Czesław Miłosz pisał:
„takiego tłumacza polska
literatura od jej początków
po dzisiaj nie miała”. Stanisław
Barańczak - poeta, krytyk
literacki, eseista, a także
autor przekładów zmarł 26
grudnia 2014 roku w swoim
domu w Newtonville, na
przedmieściach Bostonu

Urodził się 13 listopada 1946 roku w Poznaniu, w rodzinie lekarzy. Jego rodzona siostra to pisarka Małgorzata Musierowicz, autorka cyklu powieści „Jeźdźcjada”. Stanisław ukończył polonistykę na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu, gdzie pracował później jako wykładowca. W okresie studiów pełnił funkcję kierownika literackiego Teatru Ósmego Dnia. Zadebiutował w miesięczniku „Odra” w 1965 roku wierszem „Przyczyny zgonu”. W 1968 ukazał się jego pierwszy tomik wierszy „Korekta twarzy”. Szybko został uznany za jednego z czołowych poetów pokolenia tzw. Nowej Fali. Był autorem

manifestu pokoleniowego pisarzy, którzy debiutowali po 1968 roku („Nieufni i zadufani”). W swoich wierszach kreował nową poetykę, którą cechowały nieufność wobec języka propagandy, operowanie konkretami, zakorzenienie tekstu w realiach społecznych. Wraz z Ryszardem Krynickim należał do grupy „Próby”, stanowiącej „lingwistyczny odłam” pokolenia '68. Jako poeta - lingwista przyznawał się do fascynacji wierszami Mirona Białoszewskiego oraz Tymona Karpowicza. Wkrótce ukazały się kolejne tomiki jego wierszy: „Jednym tchem” (1970), „Dziennik poranny” (1972), „Ja wiem, że to niesłuszne” (1977), „Tryptyk z betonu, zmęczenia i śniegu” (1980).

Poezja zawsze jest protestem

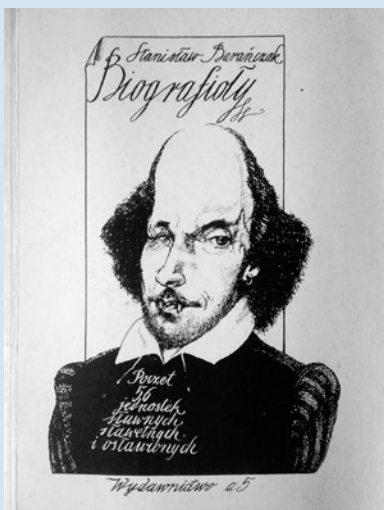
- „Myślę, że to, co było najlepsze w poezji tak zwanego pokolenia '68 wynikało z powolnego uświadamiania sobie przez nas, że poezja zawsze jest protestem - z reguły bezsilnym ma się rozumieć. Ale ten protest nie może się sprowadzać tylko do kwestionowania. Ma szansę uzyskać jakieś znaczenie tylko wtedy, gdy wynika z generalnej akceptacji życia i rzeczywistości” - mówi S. Barańczak w rozmowie z Gabrielą Łęcką („Salon Literack”).

Jako krytyk literacki Barańczak zastąpił cyklem „Książki najgorsze”, w którym opisywał często złośliwie, „grafomańską



Fot. wikipedia.org

florę literacką PRL-u pompowaną przydziałami papieru i politycznym wsparciem ówczesnych decydentów” - tak to określił po latach sam autor. W czasach PRL-u zaangażował się w działalność opozycyjną. Był wśród założycieli Komitetu Obrony Robotników, złożył również podpis pod tzw. „Listem 59” - proteście intelektualistów przeciwko poprawkom do Konstytucji PRL, które ograniczały suwerenność Polski. Z



powodu działalności w opozycji, od 1977 roku objął go zakaz druku, tego też roku został dyscyplinarnie zwolniony z pracy. W 1980, wskutek interwencji „Solidarności”, jednak odzyskał swoje stanowisko na Uniwersytecie w Poznaniu.

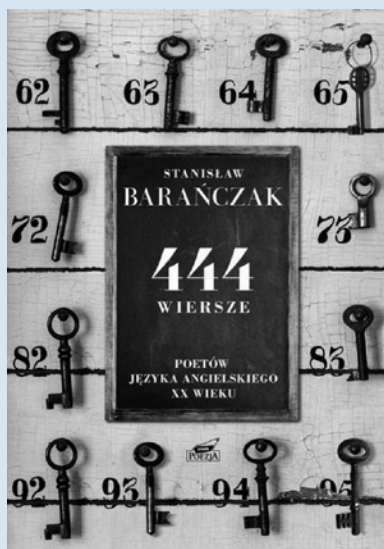
Wykładowca na Harvardzie

W marcu 1981 roku Barańczak wyjechał do Stanów Zjednoczonych z wykładami o literaturze polskiej. Po wprowadzeniu stanu wojennego jego powrót do kraju okazał się niemożliwy. Pozostał w USA, gdzie na Wydziale Sławistyki Harvard University w Cambridge wykladał literaturę polską. Początkowo jako associate professor w ramach trzyletniego kontraktu, a od 1984 roku jako full professor na stałym etacie. W 1982 otrzymał tytuł doktora honoris causa w Curry College w Milton (Massachusetts). W latach 90. ukazały się jego tomiki - „Podróż zimowa” (1994) i „Chirurgiczna precyzja” (1998). Za ten ostatni w 1999 roku otrzymał literacką nagrodę NIKE

Obszerny dorobek

Barańczak zajmował się też przekładami. W 1997 roku ukazało się jego tłumaczenie wierszy Boba Dylana. Uważany jest za najwybitniejszego w drugiej połowie XX wieku tłumacza na język polski. Ma na swoim koncie kilkanaście tomów „Biblioteczki Poetów Języka Angielskiego”. Wydał trzy grube antologie poezji anglosaskiej: religijnej, miłosnej i „niepoważnej” oraz amerykańską antologię „Od Whitmana do Dylana”. Jest też autorem serii przekładów dramatów Shakespeare’a. Tłumaczył również wiersze poetów rosyjskich, m.in. Josifa Brodskiego. Swoim dorobkiem jako tłumacz mógłby obdzielić co najmniej kilku twórców.

- „Cały ten dorobek urósł nie tyle dzięki jakiejś precyzyjnej organizacji pracy, ile po prostu dlatego, że ja bardzo lubię tłumaczenia poezji jako sposób spędzania wolnego czasu. To taka rozrywka umysłowa do n-tej potęgi, która tym góruje nad krzyżówkami i szaradami, że dostarcza intensywnych przeżyć estetycznych, poszerza horyzonty umysłowe i w ogóle wzbogaca umysłowo. I za taką przyjemność jeszcze człowiekowi czasami płać honoraria” - mówił poeta.

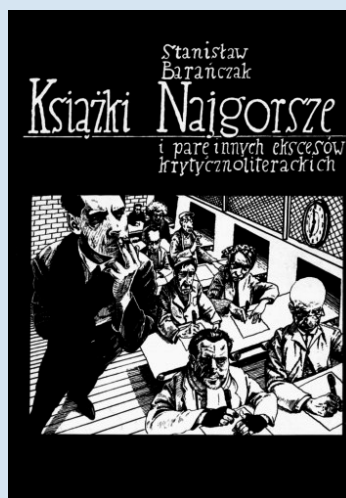


Tłumaczenia pure nonsensu

Wśród wielu przekładów Barańczaka osobną, obszerną część stanowią tłumaczenia literatury „pure nonsensu”, czyli poezji niedorzecznej, absurdalnej. To Barańczak przełożył na polski wiersze takich klasyków tego nurtu, jak: Edward Lear, Lewis Carroll czy Hilaire Belloc. Jego zabawy i gry językowe zostały zebrane w tomie „Pegaz zdębiał”, mającym wśród bibliofilów status książki kultowej. - „Poezja nonsensu zaspokaja elementarną ludzką potrzebę wzięcia odwetu na samym istnieniu” - przypominał poeta we wstępie. Podsumowanie swoich doświadczeń translatorskich zawarł w książce „Ocalone w tłumaczeniu”: - „Jest to mały, lecz maksymalistyczny manifest translologiczny, albo tłumaczenie się z tego, że tłumaczy się wiersze również w celu wytłumaczenia innym tłumaczom, że dla większości tłumaczeń wierszy nie ma wytłumaczenia.”

Motto Barańczaka

- „Poeta musi mówić prawdę. Nie odrzucam polityki czy spraw społecznych jako tematu wiersza, raczej staram się zawsze widzieć je jako fragment wszystkich tych uwikłań, w których się człowiek znajduje” - mówił czołowy poeta polski. Pracował jako współredaktor wychodzącego poza cenzurą „Zapisu”. W czasach PRL-u opublikował w drugim obiegu, m.in. tomy: „Sztuczne oddychanie”, „Ja wiem, to niestuszne”, „Tryptyk ze



zmęczenia, betonu i śniegu”. Jego wiersze z tamtego okresu są bardzo ściśle związane z warunkami życia w Polsce. - „Wtedy w tej poezji, którą ja proponowałem i którą proponowali moi rówieśnicy z pokolenia 68’ uderzało głównie to, że poruszała pewne tematy społeczne i polityczne - mówił. - To było coś nowego w poezji, która poprzednio żywiła się raczej aluzjami, niedopowiedzeniami. Myśmy starali się mówić wprost i to było coś nowego, ale powodowało też, że pod tą etykietką polityczności nie widziało się pewnych innych rzeczy w tej poezji.”

Poeta emigracyjny

Barańczak współpracował z Rozgłośnią Polską Radia Wolna Europa. W grudniu 1981 roku jako działacz opozycyjny stał się z konieczności poetą emigracyjnym - wygnańcem. - „Myślę, że zawsze ta sytuacja człowieka we wschodniej Europie, a zwłaszcza w Polsce, będzie czymś, co mnie będzie bardzo interesować i co będzie pewnym materiałem poetyckim, ale na pewno w tej chwili mam szansę widzenia tego jakby z szerszej perspektywy” - mówił w 1981 roku w Radiu Wolna Europa.

Nazwisko Barańczak znalazło się na specjalnej liście, na której umieszczono autorów pod szczególnym nadzorem peerelowskiej cenzury. Tomasz Strzyżewski w swojej książce o cenzurze w PRL („Czarna Księga Cenzury PRL”, Wydawnictwo Aneks, Londyn, 1977) publikuje poufną instrukcję cenzorską z 21 lutego 1976 roku Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, na której umieszczono następujące wytyczne: „Wszystkie własne publikacje autorów z poniższej listy zgłaszane przez prasę i wydawnictwa książkowe oraz wszystkie przypadki wymieniania ich nazwisk należy sygnalizować kierownictwu Urzędu, w porozumieniu

z którym może jedynie nastąpić zwolnienie tych materiałów. Zapis nie dotyczy radia i TV, których kierownictwo we własnym zakresie zapewnia przestrzeganie tych zasad. Treść niniejszego zapisu przeznaczona jest wyłącznie do wiadomości cenzorów”.

Stanisław Barańczak jest laureatem licznych nagród literackich, m.in. nagrody Polskiego PEN Clubu im. J. Parandowskiego, wspomnianej już nagrody Nike za tom poetycki

„Chirurgiczna precyzja” czy Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius za całokształt twórczości. W 2006 roku został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Poeta jest również autorem licznych, cenionych przekładów z języka angielskiego, m.in. dramatów W. Szekspira, wierszy Emily Dickinson czy W. A. Audena.

**Jadwiga Michalak
Naémierz**

Stanisław Barańczak (1946-2014) - Wiersze

SPÓJRZMY PRAWDZIE W OCZY

*Spójrzmy prawdzie w oczy: w nieobecne
oczy potrąconego przypadkowo
przechodnia z podniesionym kołnierzem; w stężale
oczy wzniesione ku tablicy z odjazdami
dalekobieżnych pociągów; w krótkowzroczne
oczy wpatrzone z bliska w gazetowy petit;
w oczy pośpiesznie obmywane rankiem
z nieposłusznego snu, pośpiesznie ocierane
za dnia z łez nieposłusznym, pośpiesznie
zakrywane monetami, bo śmierć także jest
nieposłuszna, zbyt śpiesznie gna w ślepy zaulek
oczodołów; więc dajmy z siebie wszystko
na własność tym spojrzeniom, stańmy na wysokości
oczu, jak napis kredą na murze, odważmy się spojrzeć
prawdzie w te szare oczy, których z nas nie spuszcza,
które są wszędzie, wbite w chodnik pod stopami,
wlepione w afisz i utkwione w chmurach;*

*a choćby się pod nami nigdy nie ugięły
nogi, to jedno będzie nas umiało rzucić
na kolana.*

PAN TU NIE STAŁ

*Pan tu nie stał, zwracam panu uwagę,
że nigdy nie stał pan za nami
murem, na stanowisku naszym też
pan nie stał, już nie mówiąc, że na naszym czele
nie stał pan nigdy, pan tu nie stał, panie,
nas na to nie stać, żeby pan tu stał
obiema nogami na naszej ziemi, ona stoi
przed panem otworem, a pan co,
stoi pan sobie na uboczu
wspólnego grobu, panie tam jest koniec,
nie stój pan w miejscu, nie stawiaj się pan, stawaj
pan w pąsach na szarym końcu, w końcu
znajdzie się jakieś miejsce i dla pana*

Wybrała: J. Michalak, Naémierz

Worki myśli Grzegorza Chwieduka

Worek pierwszy: Głowa ubrana w niebo

*Żona jak malowanie, tylko niepotrzebne
jej codzienne kazanie. Oddała mi się
kiedyś całym ciałem i duszą, zostałem
w ten sposób jej kurą domową.
Stworzyliśmy dom i nic poza tym.*



Fot. J. Marzętnik

Otwieramy ramiona wbrew prognozom. Niewyczerpane szczęście przyprawia o mdłości. Kobiece ciała dają się we znaki. Umiemy patrzeć, by nic nie widzieć. Noc nalewa nam alkohol. Przez okno można stracić głowę. Przedłużeniem pragnień jest rosnąca broda. Łakome oczy są takie oczywiste. Uprawiamy miłość i wszystko rośnie. Dotykami i uśmiechem smarujemy twarze. Powrót słońca tak dużo kosztuje. Umyka czas, ten wredny towarzysz. Kąpiemy się w wyrzutach, by tłum to docenił. Samotność przypomina ość. Wierniejsze od miłości zwykłe podanie dłoni. Gorycz pierwszej porażki odbija się na języku. Rozpacz sięga zenitu, ale nikogo nie dziwi. Sprawiamy ból, a morda nam się śmieje. Sny bez miłości są takie bezpłciowe. Głowa nijaka ma kłopoty z wierszem. Adam wzgardzony jeszcze się odrodzi. Idziemy przez miasto i stoimy w miejscu. Bez parasola czuć zaloty deszczu. Bez serca nie tylko oszczerca. Postarzał się czas, a my wiecznie młodzi. Tamte rozmowy zamknęły gęby sąsiadkom. Granica rozklejania wyjątkowo rozciągliwa. Palisz papierosy i masz w dupie osy. Wpadł w zadumę i wypadł z gry. Ciepłe dłonie marzną na zawołanie. Miło słuchać kochanki, gdy żona nie słyszy. Idealna żona, bo w sumie nie zaszkodzi. Kurewskie ciuszki mają ten tupet. Pies mnie liże, nawet gdy nie zastęguję na spojrzenie. Dobrze wychowani umierają czasem w skandalu. Umiemy żartować, by łzy zablokować. Przenikanie planów osłepia. Dłoń na dłoni wygląda też zabawnie. Potrafisz kochać tylko we śnie. Układa usta do pocałunków i wychodzi z nich żaba. Przyciągasz oczy, by je zapamiętać.

Włosy misternie ułożone przez serce. Głowa ubrana w niebo wyróżnia się w deszczu. Nie ma granic przepis na szczęście. Wpadła mi w oko zapamiętana łąka. Dom napełniony słońcem ma więcej tlenu. Nasza miłość, wasza złość. Wierzysz mi, że jeszcze ryknę jak lew. Uzasadniona nadzieja nie musi się tłumaczyć. Wypełniona spokojem babcia wśród rozrabiających wnuków. Seksualna gotowość nobilitacją kochanków. Smakuje bycie ze sobą nawet w kiblu. Sesje zdjęciowe nie cierpią nadmiaru tłuszczu. Zdecydowałem się na ciebie i teraz wrywam sobie włosy. Rozśmieszasz mnie do łez tym swoim smutnym rykiem. Pachnie seksem kobieta ubóstwiana. Wszędzie ty, a ja ciągle sam. Oczy w czarnej oprawie nagle mnie oświeciły.

Przyjazna ręka nie bawi się w zawiości. Głos jak dzwon, a cienko śpiewa. Dotykałem cię myślą i słowem, by dostać w końcu w łeb. Marzeniem kleszcza nie jest wcale borelioza. Ciepło od samego patrzenia na zakochane pingwiny. Drogi doskonale równoległe straszą nudą. Raz lepiej, raz gorzej, nigdy w sam raz. Uroczy luz zrobił nam dziecko. Zastryk pewności nie powinien mieć wakacji. Błogosławiony dzień bez ogłupiającego telewizora. Żona jak malowanie, tylko niepotrzebne jej codzienne kazanie. Oddała mi się kiedyś całym ciałem i duszą, zostałem w ten sposób jej kurą domową. Stworzyliśmy dom i nic poza tym. Kłótnia z żoną warunkiem późniejszego spokoju. Wzajemne pretensje mają strasznie długie korzenie. Liczenie na kogoś ozdabia siwizną włosy. Tak bardzo ją kochał, aż nie wytrzymał i umarł. Gotowa na miłość od razu, więc nie potrzebuje rozgrzewki. Znajomą podnieca nawet świeca. Wdzięku ma tyle, że nie nadążają za nim amanci. W milczeniu powstają głośne dzieci. Przytulenie magiczne daje nam kopa. Lekki dotyk początkiem wspólnej rewolucji. Najważniejsza kobieta, a on się stołuje. Rozjaśniona twarz bywa sprytną maską. Tacy dobrani, szczęśliwi, że stali się w jednym czasie siwi. Pusty związek atrakcją dla pełnego pomysłów pisarza. Bez pożegnania odleciała żonka niczym mucha. Ważne rozmowy nie muszą się stroić w minki. Straciłem skrzydła i wreszcie poczułem grunt. Gdy wilgotnieją oczy, nic już nie jest takie samo. Cisza łąkuje w uszy i rozwała małżeństwa. Powiewy niepokoju wyganiają z domu. Znaki zapytania nie trzymają się zasad. Bez ciebie tylko ściany i ja pijany. Nastroszona królowna producentką błaznów. Bez dobrych słów najesz się kłów. Święta racja zamieniła go w diabła. Los zadzwi z każdego, nawet świętego. niesprawiedliwy świat nie musi się wściekać. Słowotokiem można nabić sobie guza. Najgorszy, najgłupszy, więc kochają go jedynki. Jest tak rozdarty, że już nie ma czego zdzierać. Kiedy rozlatuje się wszystko, czas na koło ratunkowe.

Worek drugi: Radość rośnie w doniczce

Mowa oddechów zatyka usta. Nasiąkam miękko wspomnieniami. Płyniesz, pulsujesz, by w końcu oklapnąć. Dopadła nas noc żądająca spełnienia. Ustami można świat naprawić.

Znakomite udawanie podarowało jej męża. Rozczarowanie i ból stoją w gotowości. Bezdusznym egoistką też chce przeżyć. Zawiodłem się na zbyt wspaniałych, znajomych poetach. Nic nie jest takie, żeby nie mogło być owakie. Nie ma się kogo poradzić w sprawie zbyt kochliwego mężulka. Kłótnia o kolor kanapy potrafi być bezbarwna. Na dnie rozpacz nie jest wcale cacy. Nie lubi swojego życia, bo ciągle coś mu śmierdzi.

Nienawidzi ludzi, to go rano budzi. Inny mężczyzna, te same cuchnące skarpetki. Rozstała się z klasą, lecz nie z jego kasą. Wspólne lata i w końcu im to lata. Górnolotne plany



do błogosławionej kasacji. Trzaśnięcie drzwi nie jest zwykłym hałasem. Ich świat runął, scenariusz do filmu sam się napisał. Zmięty, przygarbiony, ale wreszcie wolny.

Martwi się o wszystko, nawet o nic. Trudny związek nie jest tańcem motylek. Zakochany po uszy nie słyszy ostrzeżeń. Mąż, ojciec i cham w jednej osobie. Cudownie im w łóżku, lecz mają wspólnego wroga: budzik. Zwycięski wzrok odzyskuje na żonie. Przez wszystkie lata dorobił się kompleksów. Patrzy w lustro i ciągle w zmarszczki nie wierzy. Zrozumieniem żony można się nasycić. Wierny jak pies, a nie podskakuje i nie szczeka. Niepotrzebne są słowa, gdy nas tuli w ogrodzie cisza kolorowa. Efektownie wygląda dziura w moście. Szarpanina słów załatwiła mu szpital. Niespokojnie bije serce, słusznie nie zwisa to jednej i drugiej nerce. Bitwa na gesty i słowa bezkrwawym starciem. Drga niepewność przy pewnej siebie teściowej. Tamten czas owocuje dzisiejszą przesadą. Znamy się zbyt dotkliwie. Brakuje mi czystych szyb w autobusach i pociągach. Powroty mają w sobie taskawość. Puste szklanki czekają na jeszcze. Już nie spija miłości kochanek znudzony. Obojętność działa w zwolnionym tempie. Policzek doświadcza krańcowych uczuć. Zbyt daleko często przyciąga. Niezdolny do zmiany głąz narzutowy. Mieszkanie ciche i puste po odlotach wszystkich dzieci. Głodnym dłoniom brakuje duchowego żarcia. Bezpieczne chwile tkają spokoj. Z poukładanym światem nie zadzieraj. Dotyk twej dłoni silnikiem uruchomionym, zaraz zaczniemy jazdę. Ciepło zimą inaczej smakuje. Na dobre słowa nawet jęzga gotowa. Błyszczę twoimi oczami już od trzydziestu lat. Szeleści jesień, że czas na gryby.

Mowa oddechów zatyka usta. Nasiąkam miękko wspomnieniami. Płyniesz, pulsujesz, by w końcu oklapnąć. Dopadła nas noc żądająca spełnienia. Ustami można świat naprawić. Oczy też potrzebują ciemności. Szyja z szyją w zgodzie żyją. Z powodu włosów radość i rozpacz. Kobieta o pięknym, zalotnym głosie źle się czasem kojarzy. Cudowny temperament nie załatwi wszystkich spraw. Zmieszany z białem odzyskał rozum. Inni ludzie są tacy sami. Człowiek skreślony pomyślał wreszcie o Bogu. Odległą planetą stać się może dziewczyna tak bliska. Słowa błędą przy kosiarce. Gdy wszystko się wali, nawet słońce jest wrogiem. Brakuje tych chwil zielonych i beztroskich. Krzyk głodnego serca zaskoczy cię i po obiedzie. Nie dałaś mu grosza nadziei, dlatego jest wewnętrznie bogaty. Niemoc zastąpiła grzechem. Zakopałaś prawdę, wolisz być prawdomówna. Niepokój czuje się potrzebny. Cud się przytrafił, zapracował wreszcie na plotki. Wraca pusty z każdego wesela. Przebrane szanse rechoczą złośliwie. Przystała mu śpiewać jak skowronek żona utuczona. Obie siostrzyczki potrzebujące: Izie nie ma kto przyłożyć, a Monice włożyć.

Teściowa skutecznie przystłoniła mu żonę. Spokoju najadł się kiedyś w rodzinnym domu. Wykrzyzczyć miłość w transparentny sposób! Uzupełniamy się kompletnie co do wad. Jedyna jej atrakcja to konwersacja. Spełnione lato zrobiło z niego konia. Morze twoich oczu topi śmiałków. Biegnie przez deszcz, bo go suszy. Patrzymy na siebie i jesteśmy w piekle. Radość rośnie w doniczkach. Słychać w nocy szczęście odważnych sąsiadów. Zostawiły komarzyce ślady na moim policzku. Faktura twojej skóry broni się sama. Mam pewność, że w najlepszym razie się zestarzeję. Chwalisz mnie tylko za wczoraj. Jestem normalny: mam wady! Żadnych obcych, wędrujących rączek po wiernym, żonatym facecie. Nasza nabrzmiała radość dobija wrogów. Brak wiary zastanawia. Zabrałeś mi świat, nie pomógł kwiat. Ryba znudzona wodą cierpi katusze. Brak u kucharki wiary przez pobite gary. Blizna wspomaga pamięć. Braków w ich mieszkaniu dostatek. Wszystko jest bez sensu, gdy ogtupia ład. Wypisać się z życia można i bez tycia. Nastrój filozoficzny twórczym narkotykiem.

Worek trzeci: Piękna dziewczyna nie jest powietrzem

Niespokojne godziny, które się wloką, odebrały mi kiedyś chęć do wstawania. Słów zaciętych dla zdrowia nie klonujemy! Samotność ogranicza liczbę fałszywych przyjaciół.



Ustało pożycie, przywiązanie wzięło ich w swoje szpony. Nie mam odwagi bić się z sumieniem. Rozpaczliwy brak jasności w sprawie zapraszanych gości. Samotny samiec trwa obrażony. Puste połówki skazane na skargi. Nie jestem w stanie sam sobie zrobić niespodzianki! Aż do śmierci staramy się starość oszukać. Nie opuszczę cię, chyba, że się postarasz. Nie jesteś ze mną, tylko z moimi pieniędzmi. Inny mężczyzna ją przygarnia, podniecam się tą myślą. Światła szukam, mnie bogactwem nikt nie oszuka. Umacniasz się na pozycji przegranej przez przytulanie. Pełen jaj dom nasz cały. Bliśka mi jesteś, nawet gdy się załatwiasz. Nie żal nam czasu na wstydlive jęki. Rozmową rozbierzesz człowieka. Przestał się zastaniać pracą po odejściu teściowej. Rzeczy nieważne mogą kiedyś zaświecić. Zachód słońca zachęca nas do łóżeczka. Miłość do komórek nie zna już granic. Śpiew ptaków nie kojarzy się z fałszem. Każda chwila należy do kogoś. Sny czyste o tobie dały mi zdrowie. Cud spotkania także rzeczy i ludzi. Wstaje rano człowiek wydłużony, obrażony. Czy ktoś

ma szczególne prawo do pisania wierszy? Zbliżający się kryzys wyczuwa się w łóżku. Wczesne wstawanie może stać się świętem. Kontur twoich piersi dopasowany do moich marzeń. Coraz bardziej wysycham, coraz mniej się śmieję. Nie czuję gruntu pod nogami nawet w tłumie ludzi. Czepiam się Internetu, by szybciej zwariować. O nic nie prosi, gdy tryska zdrowiem. Piszę, by przywalić komuś. Pogubiłem się w ocenie niektórych ludzi. Zmiana pór roku to inne wiersze. Czuję na całej skórze nasze dopasowanie. Wtulam się w sny bogate mojej królowej. Gubię słowa, których już więcej nie znajdę. Marznę nie od chłodu, ale nikt mi nie wierzy. Moja nadzieja długofalowa z lekkimi zakłóceniami. Wypatruję cząstki ciebie w spotykanych kobietach. Kamień też przemawia, wystawiony na wiatr, deszcz i czas. Noc milcząca wstuchuje się w prawdę. Niespokojne godziny, które się wloką, odebrały mi kiedyś chęć do wstawania. Słów zaciętych dla zdrowia nie klonujemy! Samotność ogranicza liczbę fałszywych przyjaciół. Milczą w nim sny, a sennik rozkłada ręce. Ma swoje dobre strony kłótnia w hałasie. Nie można się przecież tak zamykać, żeby mieć kłopoty z wyjściem. Tak trudno ze sobą rozmawiać, gdy nie ma o czym. Przytłaczająca cisza to kara za nasze jęzory. Nie dało się załatwić milczeniem niewiernego męża. Nicniemówienie jakoś dziwnie wygląda. Przestali być małżeństwem dla świętego spokoju. Myślę o tobie, mam, jakbyś się miała zaraz ze mną spotkać. Nie ma samego dobra i nie ma samego zła, dlatego wybieram wolność. Czuję, że myślisz o mnie, bo dostrzegam wieczorem księżyc, rano zaś słońce. Od pół wieku chce być lepszy, inny i ciągle się w tym postanowieniu powtarza. Iść w życie dalej nie znaczy efektywniej. W gorączce szukania zapominamy o tym, co mamy. Stale niesyci, stale żałośni. Dbasz o planetę: uśmiechasz się ciepło, bo nie chcesz zbyt mocno podgrzewać atmosfery. Z ust człowieka wylatują odpady i skarby. Pełna niespodzianek głupiutka lala. Docenianie się nawzajem wychodzi już nam bokiem. Fantastyczna w łóżku bohaterka mojej eksperymentalnej baśni. Jego męskie ego rośnie w trakcie lania wody. Skromność i wstydlwość to często dwie sierotki. Miłość prawdziwa niektórych zawstydza. Zasługi szybko tracą świeżość. To skandal, on podniecony z powodu afery, a nie żony. Znudzeni sobą myślą już o nowych podbojach. Zszarzał jak stary dziad, bo wnuków mieć nie będzie. Od zachwyty do rwania włosów. Piękna dziewczyna nie jest powietrzem. Codzienna rutyna zamienia się w szarość. Żadnych bab nie chcemy do pewnego czasu. Wielka niespodzianka brzmi atrakcyjnie. Poszła w cholerę, by innego zarazić. Trudne krzyżówki przerażone Internetem. Ludzie ważni już nieważni. Bez też się zmienia bez dwóch zdań. Wybrała chama, by walczył z jej wrogami. Nieprzyjemnym rzeczom też wolno się rozprzestrzeniać. Pierwsze spotkanie oddycha ciekawością. Kojarzy mi się cisza z doładowaniem. Kolory i kwiaty to nasze widzimy się. Każdego dnia nie uszczęśliwisz. Jest koło niego wierna grubaska na złość marzeniom. Rzeczy oczywiste wyjaśniają się same. Różnymi się podejściami do sprawy. Spotykamy przeznaczenie i zwiemy na ekspresowym tempie. Odchodzimy wiele razy nie tylko od zmysłów. Przestrzeń toksyczna dla niektórych śliczna. Ich razem to trzy piosenki. W samotności nie trzeba się biczować. Za każdą łzą widać człowieka. Głos drewniany, informujący i obcy wygania w szczególny sposób. Mieszkanie bez ciebie nabrało rozmiarów. Narasta we mnie życzliwy opór. Snucie się bez sensu nie jest takie głupie. Całymi dniami się nie przejmuję, jedynie ich wredną cząstką. Z miną zbitego psa zaliczał chętnie suczki. Życie we dwoje przybliżyło do rajy lub piekła. Obserwujemy głupie nawyki spowodowane mądrością. Na języku można się daleko zawieźć. Z ran płynie czasami histeria. Krew powinna być ostrzeżeniem. Ciepłe ciało podobno nie mrozi. Usta nieustannie wariują.

Grzegorz Chwieduk, Kępiec

wiersze najnowsze

Zenon Marian Lasoń, Słupsk

NIEWIDOMEJ POETCE - TERESIE ŁAWECKIEJ

W przestrzeni mroku
dotykasz uśmiech kwiatów
i głaszczesz zagubioną
radość

W chwilach natchnienia
malujesz życie barwą poezji
w lustrze spojrzeń szukasz
swojej twarzy
i wycierasz łzy losu
wokół siebie zbierasz myśli
i chwytasz świat doznań
- jesteś nową Ofelią

Idąc razem z nami
w swoich ciemnych okularach
jesteś ciągle młoda
otulona marzeniem kroczyś
odważnie przez światła i cienie

Ziemowit Szafran, Słupsk

BIEDA

Za splotałyymi frankami okien
Świat pędzi
Wpatrzony w smartfony
Może lepiej dla niego
Nie widzieć...
Nie wiedzieć...
Co jest za tymi frankami
Niewiedza tłumi sumienia
I wygasza nasze serca
W których miłość jak ognik błądy
I uczucie zimne jak dłonie
A sumienia jak bieda - puste.

WOLNO MI...

Wolno mi
Mieć ogródek
Wymarzony
W którym naprzeciw róży
Łopian kwitnie
A kwiaty ścina zimą mróz
W moim ogrodzie
Kwiaty są wolne

W moim ogrodzie
Wolno mi
Magiczną mieć altanę

Na której ścianach
Toczy winorośl
Z powojnikiem dialog
Przy moim łóżku
Świerszcz roni łzy z rozpachy
Bo ktoś mu zabrał skrzypce
Więc nie gra
Tylko płacząc śpiewa
Gdy ja piszę wiersze

W mojej altanie
Wokół lampy
Pająk abażur wije z nici
Nie mówi nic
I słucha moich wierszy
Tak mi najlepiej
Tutaj mi dobrze
Niech mi ktoś inny
Jej nie urządza

Krystyna Pilecka, Koszalin

BEZDOMNOŚĆ

domy malowane są dźwiękami
słysząc w nich rozmowę
podłogi z obcasami
pukanie swojskie
łyżeczki o talerzyk
niebieską muzykę telewizora

w domach nocą
cisza śpiewa kobysanki
wtulonym
w ciepłą pościel łóżek
i...
każdy dom ma
swoje tajemnice
nie wyjawia ich ani
cztery kąty
ani piec
ani drzwi
których nie sposób uchylić

oko bezdomności
zerka beznadziejnie melancholijnie
... kiedyś też miałem dom...

bezdomny jest małomówny
tylko patrzy
burza słów szaleje
w jego wnętrzu
najwięcej głosów słyszy
wewnątrz siebie

Lidia Zygunt, Tczew

NIESZCZELNOŚĆ

pamiętam,

droga zawsze prowadziła
w to miejsce, gdzie rosta czeremcha.

wraz ze świtaniem w jej konarach
wykluwały się kolejne nadzieje
i tylko te przeświły w palcach

nie pozwalały zapomnieć,
że ślady z czasem zacierają się
i nie da się tak

bez pięknieć.

DYBUK

Wiesz
śniłam, że dotykałeś kamieni, które
zostawiłam nad rzeką.
Wzbrany nurt zniósł niepokój
o rodzący się z nas świat.

Odklejam od drzew miejsca,
w których nic już nie zostało, odrywam
wszystko, a zwłaszcza
to czego nigdy nie miałam.

depcząc ślady tych, co przed nami.

Jan Kulasza, Strzelce Krajeńskie

ŻEBY PAMIĘTAĆ

na dzień ojca zaprosiłem
córki, zięciów i wnuki
przygotowałem kociołek
musiał wszystkim smakować

każdy odejść kiedyś musi
wiek mój bliżej niż dalej
tydzień, miesiąc czy rok
nie ma to już znaczenia

cieszono się z narodzin
z innych różnych okazji
witano lecz kiedy odchodzimy
trzeba pożegnać
pożegnać dopóki żyjemy
żeby pamiętali w swych sercach
jak najdłużej

Anna Boguszewska, Słupsk

Z WYSOKIEGO KLIFU

tej zimy morze zabrało plażę
z wysokiego klifu patrzę na
fale nieustannie pędzące do brzegu
wygłodniałe ptaki krążące nad wodą

czuję zapach wody słonej
widzę jak z mokrego piasku
spływają ślady stóp
muszle bielą się w słońcu

na wydmach pomarańczowe jagody
zimozielonego rokitnika błyszczą
niczym światło latami po deszczu
drżą krzewy smagane wiatrem

świeży powiew wiosennego wiatru
niesie słodki zapach bursztynu
z nutką tęsknoty za latem
w słońcu lśni aksamitna plaża

w oddali na łowisku
ledwo widać kutry rybakię
krzykliwe mewy od świtu
czekają na smaczny kąsek z kutra

magiczne miejsce...

ZACHÓD SŁOŃCA

wieczorne słońce czerwienią
maluje lazur wody
krok po kroku przemierzając plażę
rozprawiamy o niebie i o chlebie

spojrzałeś mi głęboko w oczy
straciłam wątek...
nasz czworonożny przyjaciel
Hektor biegnie brzegiem morza

pastelowa tęcza wisi na niebie
na złotej plaży
zielone lato gra barwami
znikają zamki z piasku

mewy srebrzą się nad wodą

na grzbietach białych fal
bursztynowy zapach lata
wieczne morze ma spokój w sobie

z muszelką w dłoni
szukam grudek bursztynu
niezapomniane widoki
najpiękniejszy kawałek świata

powrócę tu...

Emilia Zimnicka-Jastrzabek, Izbica

NOWOCZESNOŚĆ

Nie ma już ludzi na polach
Tych z kosami i sierpami
Krów pastuszkowie nie gonią
Cisza nad zielonymi łąkami

Nikt już nie stawia na polu
Snołów w mendle i kopy
Nie wozi w pocie czoła
Ciężkich dojrzałych snołów

Nikt też nie grabi pachnącego siana
Na łące grabiami, widłami
Nie ma już ludzi układających stogi
Czas ten przeminął, wszystko za nami

Nie widać ludzi na kartofliskach
Zapachu pieczonych ziemniaków
Wiejskiej młodzieży pomagającej rodzicom
Nie ma ani śladu... to naszych czasów znaki

Można zobaczyć warzącą maszynę
Pełznącą jak wąż po roli
Samotny człowiek we wnętrzu siedzi
Współczesny polski rolnik

ODPUST W WIEWCU

Tęsknię do czasów złocistego lata
Obrazu szczęścia lat mojej młodości
Gdy serce biło do Marii Szkaplerznej
Szczerym oddaniem, modlitwą miłości
Wspomnienie czasu, gdy mała Emilka
Wędrowała miękką, piaszczystą drogą
Na odpust Matki Boskiej Szkaplerznej
Do kościoła w Wiewcu

Boso w rękę trzymając sandaalki i skarpetki
Wiewiec jedyna w Polsce miejscowość
O takiej nazwie
W niej trzynastowieczny kościół na górze
Pragnęłam się pomodlić do cudownej Pani
Oddać Jej w dłoni czyste serce
Za całe piękno wkomponowane
W letniej naturze
Minęły jak biczem strzelił, tamte czasy
Już nieuchronnie zbliża się wieczność
To dobrze, że pamiętam korale obwarzanków
Słodczy cukierków, smak tatarczucha
Pieczonego w Rzeźnicy
Dźwięk drewnianych kogutków
Muzykę organek
Wesołość rozbrzmiewającą

W całej okolicy
Ileż to razy fruwałam wraz z innymi
Na karuzeli
Wszystko to w scenerii żniwnych pól
Dojrzałych kłosów, pszenicy i żyta
Zebranych w mendle
Rzuconych jak malarski obraz
Stad gęsi pasących się na ściemisku
Mój obraz szczęścia powrotu do
rodzinnego domu
Który nie był blisko, bo aż cztery
kilometry radości
Dziś tęsknię do wspomnień dzieciństwa
Serdecznej modlitwy do Matki Boskiej
Szkaplerznej
I jedynej na świecie matczynej miłości

Małgorzata Wator, Gdynia

NA WIDOKÓWCE MIASTA

Cholera, wszystko pozmieniało się,
Odkąd wyszłam z siebie i przeszłam
obok.
Odpływ moich wspomnień zabiera
większą część ładu istnienia.
Rozsypałam się, a ktoś rozbił moją
szklaną klepsydrę, ziarna wróciły
do macierzy.
Tkwię teraz gdzieś tu,
Zanurzona wśród praocjów i pramatek.
Moja złość pozostaje niedościgniona
krokami wiatru.
Zaciska małe piąstki, które nie mogą
Wystawać.
Co robi się z takimi kulkami jak ja?
Odkłada się do szuflady ignorancji?
W związku z tym nie otrzymam
zaproszenia na kawę.
Nawet gdyby „tak” to go nie przyjmę.
Gdyż woda dryluje ze mnie pestki
indywidualności.

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

KOLEJNY RAZ

Mojej Mamie

Kiedy się serce ubierze w tęsknotę
Biegnące myśli przykryje westchnieniem
Położy spojrzeń mglistych wiązanek
Pod rzeunym drzewem, pod drzewem pragnień.

Otuli ramion błogich doznań kocem
By się zanurzyć w ciepłocie po uszy
I stąpać zacznie po alei wspomnień
By się odnaleźć na nowo, na nowo się wzruszyć.

Zgłodniałe serce nakarmi przysmakiem
Niepowtarzalnej podniebień pamięci
Zobaczy kochane najdroższe wczorajsze
Matczyne dłonie. Pocałunek, pocałunek
wręczy.

Łzę która spłynie odda niczym klejnot
Zasmakuje w gestach złe dziecięce chwile
Na zapas schowa do kieszeni miłość
Z jej troski na jutro, na jutro choć w tyle...

Nie wstydząc młodych treści zapisanych
W notesie życia biegnących przed siebie
Choć w siwych cieniach słońce chowa księżyc
Kierując swe światło do mnie, do mnie
i do ciebie.

Gdy serce już syte zapłacze melancholią
Otworzy wzroku błękit czystych przeżyć
Zakwitnie album na drodze pamięci
By zasiać więzi, by zasiać więzi jutrzejszych
dzieci.

MALWA

Kto ciebie zasiał malwo przemiła
Zdobiąca ciernie minionych lat?
Kto cię poprosił byś sobą zdołała
Ten zapomniany rodzinny świat?

Komu tak łatwo przyszło się rozstać
Pamiętnik matki porzucić w kącie
Ojca spocone lata wychłostać
Krótkim stwierdzeniem - odejdę stąd?

Dlaczego sady już nie kusiły
Smacznym zapachem własnej rodziny?
Dlaczego nocy cienie się wiły
W gorącym słońcu? Z czyjej to winy?

Za kim tak tęskni okno bez kwiatów
Albo zdeptany ogród zapadły?
Za kim tak kąpią krople, co z dachu
Który zemdlony troską pobladły?...

I chociaż w środku niczym wisienka
Z tortu sielanki wiejskiej zagrody
Już nie tańczy niczym panienka
Bo się zwyczajnie „wypadło z mody”!

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

CORAZ MNIEJ JEST WE MNIE DOBREGO

Starzeję się w ciszy
przyglądam się w lustrze jak na obcego
ma te same imiona co ja
ma to samo nazwisko
ale jest zupełnie inny
podobnie pisze wiersze
następny samotny romantyk
ucieleśniony duchem diabła
wybredny - żyje szablonem zatracenia
w przyszłość nie wierzy
nie utożsamia się z regułą cywilizacji
majaczy jakby było mu duszno
potępia boga miłości
sprzeciwia argumentując
że tyle złego wytworzył na podobieństwo
czegoś co jest płynnym zmysłem
wielorakim i byle jakim
że człowiek nie poznaje się w lustrze
jakby był obcy do własnych ruchów
do swojego głosu ku potępieniom -

bo sam został w lustrze
w końcową szóstą dekadę milczenia.

RUSAŁKA W OPERZE NOVA

Ostatnio byłem na (Baronie cygańskim)
najpierw poznawałem zakątki tego obiektu
- polubiłem Wyspę Młyńską
jej urok po jednej stronie przypomina
we fragmencie Wenecję -
tak podobno mówią bydgoszczanie.

W operze trzeba jednak nadać
zupełnie inną formę
zbliżenia się do powagi -
zauważyłem jednak jak poniekąd
obecni przyszli jakby z bazaru
- dobrze że nie z siatkami
warzyw i owoców.

Gdyby to była tragikomedial
- no dobrze niech będzie w dzinsach
ona czy on aczkolwiek mają ludziska
w szafach wieczorową garderobę -
bo to już z samego szacunku
do obyczaju - tradycji - kultury.

Fabula a w niej sens trafnie wskazuje
że w tych dwu światach a zatem ziemskim
ludzka zdrada w miłości jest powszechna -
choć Rusałka jako nimfa zdradziła
wodny świat poprzez uczucie do księcia
- niczym z bajki...

Wierzmy zatem bajkom.

Małgorzata Beskoste, Słupsk

JUTRO

Często patrzę w przeszłość, zaglądam
w szuflady,
Czytam stare gazety i śmieję się wspominając
A mimo to wciąż mi się zdaje że nie ma
na to rady,
że przeszłość wraca, wita się z nami, żegnając

I myślę by uciekać, by się zamknąć przed
światem,
By odrzucić to co kiedyś było mną w całości
Lecz wczoraj jest kruche, delikatnym jest
kwiatem
By wzrastał trzeba też kilku i promieni
radości

Możesz spytać, po co pielęgnować dni
przeżyte
Po co tracić czas na podróże w pamięci kąty
- Bo wiele w nas jest jeszcze nieznanne,
nieodkryte
Znając siebie tworzysz najpiękniejsze
horyzonty

ZAPROSZENIE

Brzask się budzi i przeciąga jak kot
Czas już iść - myśli przecierając oczy
Pora wzbic się w ranny ptasi lot
Zobaczyć słońca plecione warkocze

Przejrzeć się w oczach błękitnej fali
I chmur pogoni w przedwiecznym starciu
Czas sięgnąć po to, co jawi się w dali
I pragnąć wciąż mocniej i trwać uparcie

Każdą chwilę więc niosę w podarunku
Jak złoty pył w kwitnieniu dni
W poranny zmierzch, w życia poczęstunku
Najgorszym jest wciąż stać u drzew

Emilia Maraskiewicz, Darłowo

WIEŚ PEŁNA SŁOŃCA

błękitna kometa chabrów
już dawno zboczyła ze wzgórza
już i dzieciół nie liczy drzew

ojcowe kroki przywykły stąpać
w bruzdach porośniętych zielskiem
o barwie dojrzewających czereśni

pragnę zanurzyć oczy
w zielonym wodospadzie pszenicy
obok miedzy w kwiecistej sukni

jak mam ominąć podwórze
oświetlone lampami słoneczników
i nie upaść w grządkę bazylii

pęknięty gliniany dzban
pośrodku drewnianego płotu
gra głucho przeciągłe

bo w jego pustym gardle
wiatr nawarstwia pokosy echa
świerszczy i ptasich rozmów

Anna Karwowska, Dobieszewko

RYSY NA TWARZY

Jakże piękne są konie w galopie na łące
i dziewczyna gdy tańczy walca ubrana
w sukienkę jabłoni na wiosnę,
gdy niebo w obłokach nad dojarzłym zbożem
i pole kwitnie rzepakiem, a na każdym
kwiatku pszczoła błyska i blask śpiewem
przenika po polach z daleka i bliska.
Jakże drogie, wyniosłe są rysy na szorstkiej
twarzy kobiety wyżłobione pamięcią
przeżytych lat, nie stroniących od walki
o lepsze, od pracy nie dla piękna i nie
dla sławy, lecz w wielkiej sprawie,
ważnej trosce. Pudru nie znała,
ani szminki, pot z niej rzeką spływał,
ale w swej dojrzałości wspomnieniami
jest bogata. Jakże szlachetna jest jej ręka -
to nic, że wygląda jak uschły liść,
jak kora starego drzewa - porośnięta żyłami
i każdym tchnieniem ojczyzny.
Może kiedyś czujna myśl pochyli się nad
jej cieniem - dostrzeże piękno, spóbuje ująć
w słowie i na papierze.

Pałacowe intrygi



Pałacowe intrygi nie miały końca. Spiskowcy spotykali się zazwyczaj w przedpokoju, knuli i złorzeczyli na księcia, a potem rozłazili się do swoich komnat niczego nie załatwiwszy. Beatrycze była nietykalna poza wzrokiem pozostałych i rzadko uczestniczyła w życiu pałacu

Jej głównym zajęciem było oglądanie seriali, malowanie paznokci oraz robienie makijażu, który mimo jej usilnych starań efektów nie przynosił. Ostatnie doniesienia jednak o rozwiązytym, pozamatżeńskim życiu księcia wyraźnie ją zaniepokoiły. Doniesiono jej mianowicie, że książę utrzymuje potajemny związek z baronową Esmeraldą. Postanowiła działać. Z sąsiedniego pałacu sprowadziła potężnego maga Internusa. Potężne moce, które już wkrótce przybyły do Beatrycze za pomocą światłowodu sprawiły, że obmyśliła plan pozbycia się i ośmieszenia zarazem baronowej Esmerady w zwierciadle zwanym Facebook.

Sama najęła wędrowną Babę Jagę o wdzięcznym imieniu Babunia i wspólnymi siłami stworzyła siebie od nowa. Ponieważ z latami posiwiła, pod oczami zrobiły się wory i wypadł jej jeden ząb. Starania przeszły ich wszelkie oczekiwanie, że nawet jej matka równie brzydka, siwa i głupia, która jak zwykle wpadła z niezapowiedzianą wizytą, postawiła oczy w śłup. I tak jej zostało. A że stara już była, nikt na straszdyło uwagi nie zwracał i tylko w czasie Halloween dorabiała trochę, zajmując się na strzygę.

Moce wylawszy się ze strumienia światłowodu spowodowały więcej złego niżeli dobrego. Za sprawką Beatrycze, Esmeralda została pogiębiona i skazana na wieczne męki w zapomnieniu przez oglądaczy zwierciadła. Jej uroda nic nie miała już w sobie z oryginalnej, a nawet zbrzydła w oczach poddanych i zwyczajnie ją ignorowali, obierając za wzór nieskazitelnej urody, nową lalkę Barbie - sklepową z mięsnego, niejaka Mariolkę.

Znudzony książę czasem wracał przed czasem, gdyż dla zachowania pozorów Beatrycze nadal pozostawała jego żoną i współnikiem do majątku, ponieważ pałac otrzymała w posagu i w razie rozwodu książę pozostałby z niczym. Taką miała intercyzę.

Książę z większym niżeli zazwyczaj obrzydzeniem oddawał się cielesnym rozkoszom z Beatrycze, lecz to, co ujrzał tej nocy wprawilo go w zakłopotanie. Tej nocy, jak ongiś z jego komnat obiegły pałacowe zakamarki i krużganki sapania i jęki, co wśród bywalców wywoływało zazwyczaj konsternację. Głównie korpulentnej Krystynie odgłosy te miały przeszkadzać, ponieważ uchodziła za kobietę bogobojną i prostolinijną. Klęcząc przed krucyfiksem ni to modląc się, ni to gadając do siebie pomstowała tej parze. Spodziewać się można było wszystkiego, lecz ona w tej chwili spodziewała się pioruna kulistego, który zejdzie z gniewem bożym i jeśli nawet ich nie zabije na miejscu, to może sprawi, żeby tych igraszek cielesnych zaniechali na zawsze. Tak się jednak nie stało, odgłosy nasilały się. Biedna Beatrycze zdzierła gardło, książę w

tym czasie widząc w niej młodziutką baronową Esmeraldę, dokazywał do woli.

Podczaszy Franek tymczasem przebywając w stanie wskazującym na spożycie i tak pewnie wzięby te odgłosy za głosy z zaświatów, które zawsze się pojawiały, gdy przekroczył dzienny limit spożycia. Był wyjątkowym bywalcem pałacu, spowinowacony z księciem zajmował osobną całkiem sporą komnatę. Nie uczestniczył w intrygach, bo z reguły miał wszystko gdzieś i jedyne, co robił dobrze, to zbierał puszki i to co za nie uzyskał, obracał na kolejną flaszkę wina, którą spożywał z równymi sobie stanem. Z Beatrycze i księciem widywali się rzadko, chyba że wpadali na siebie w przedpokoju albo wtedy, kiedy książę osobiście zbierał podatek na utrzymanie pałacu. Lecz bywały takie sytuacje, w których książę Wacław zaszczycał swoją obecnością brata, wtedy z komnaty tej, po dłuższej chwili, dało się słyszeć: „Góralu czy ci nie żal...”, albo: „My ze spalonych wsi, my z głodujących miast...” Potem odprowadzali się wzajemnie, myśląc komnaty i tak do późnej nocy, kiedy utrudzeni zasypiali oboje na posadzce w przedpokoju.

Korpulentna Krystyna i podczaszy Franek mieli rentę przyznaną im jeszcze w dobrych czasach przez samego króla ZUS i chociażby przez ten przywilej byli osobami nietykalnymi. Krystyna wczesnym rankiem, kiedy wszyscy jeszcze spali, przystępowała do pracy tylko dlatego, iż kiedyś omamili ją czarnoksiężnik - kredyt i wpadła w pętlę zadłużenia, które spłacała do dzisiaj.



Fot. J. Maziejuk

Sama żyjąc w ubóstwie potrzebowała też środków dla karnodziei Bartolomeo, patriarchy pobliskiej świątyni, który przekonywał wiernych o potrzebie natychmiastowego remontu dachu budowli. Wierni remontu tego nie oglądali nigdy, za to z niedowierzaniem przyglądali się nowiutkiemu czerwonemu porsche. To jednak nie przeszkadzało korpulentnej Krystynie dalej składać dłonie, słuchając słów karnodziei o miłosierdziu i życiu wiecznym w bliżej nieokreślonym królestwie.

Maniery i styl bycia jej pani Beatrycze mierzyły ją zawsze, lecz poczytywała sobie opiekę nad pałacem za misję. Tak upadłana każdego dnia zaciskała zęby i niezmiennie pluła w talerz z zupą dla Beatrycze.

Tylko książę wstawał do pracy i był zawsze z tego niekontent, ale gdy z niej wracał wylegiwał się do wieczora. Panować musiała wtedy w pałacu absolutna cisza, żeby nie obudzić pogrążonego we śnie. Książę Wacław miłościwie panujący w tym czterokomnatowym pałacu zwykł poza spaniem długie chwile spędzać przed szklanym pudłem zwanym z europejska telewizją. Przy tronie, wysłużonym starym fotelu znajdował się stolik z dwoma pilotami. Książę Wacław jednak z reguły zasypiał przed szklanym ekranem. W pałacu

dostępna była również kuchnia i wspólna łaźnia, z której para książęca korzystała niechętnie. Jedynie wychodek cieszył się powodzeniem z uwagi na wysokie położenie pałacu i znaczną odległość od bramy wyjściowej. Na podgrodziu znajdowały się na szczęście krzaki, które doskonale maskowały ekstrawaganckie zachowanie niektórych lokatorów.

Beatrycze osiągnęła swój cel, lecz czary sprawiły potem, że księżniczką zainteresował się podczaszy Franek w przyptychach trzeźwości. Początkowo odrzucała ona jego nietypowe umizgi w rodzaju: „Siema lala”, czy „Lala, lala bucik ci się...” Moc czarów jednak była ogromna, oboje ulegli im już wkrótce. Biedna korpulentna Krystyna, przygarnięta ongiś z podgrodzia przez samego księcia zachowywała w sobie lojalność i przywiązanie. W przeciwnym razie opuściłaby pałac nawet jutro. Kiedy księżę Wacław nie wracał na noc, do Beatrycze zachodził podczaszy Franek. Krystyna - znajda obmyślała zemstę, najlepiej Bożą. Ale jak miała nakłonić do zemsty Boga, skoro wiadomo, że On jest samą dobrocią. Dlatego Krystyna obmyślała i obmyślała, aż dnia pewnego wpadła na pomysł iście szatański. Ugotowała zupę grzybową. Jej podanie zbiegło się ze świętami Bożego Narodzenia.

- Wszyscyśmy z jednego garnka - pomyślała korpulentna Krystyna, gdy nalewała na talerze. Beatrycze i księżę zmarli następnego dnia rano. Podczaszy Franek zaimpregnowany

trunkiem królów dogorywał trzy dni, sądząc zapewne, że to biegunka, ale i on wkrótce położył głowę.

Dla korpulentnej Krystyny święta minęły w rodzinnej atmosferze, wreszcie była pierwsza przed pierwszymi i mogła nagadać się do woli, nie bacząc na to czy jej ktoś przerwie i ją upomni.

Zemsta Boża - jeśli rzeczywiście była - jest jednak względna, bowiem czasem nie dotyczy tych, którym się złorzeczy. Korpulentna Krystyna obmyśliwszy zemstę sądziła zapewne, że z czystymi rękoma przejdzie do potomności, jako ta Krystyna Sprawiedliwa, która kraj modlitwą zbawiła.

Po świętach doszło do jej jaźni, że zemsta nie zadziałała właściwie, bowiem nie zniknęły ciała. Pograżona w modlitwie zdawała się nie czuć ich woni. Wykapawszy się rano nie poczuła gazu, udając się do swojej komnaty, który zaczął ulatniać się z niesprawnego piecyka. W kilka godzin od tego zdarzenia zasnęła przed krucyfiksem. Postaniec Rolecki zadzwonił równo o drugiej i zapewne był bardzo zdziwiony, że tak szybko poszedł do nieba. W kompleksie pałacowym blokowiska świetlista kula ognia spowodowała odpadnięcie ściany frontowej, zniszczyła kompletnie pałac Wacława i uszkodziła kilka następnych. Na szczęście dla pozostałych ich pałace o tej porze świeciły pustkami.

Czesław Kowalczyk, Słupsk

Po drugiej stronie (jedno z zapamiętanych opowiadań mojego ojca Kazimierza)



W nocy Marylka przyszła do niego raz jeszcze. Przyszła podczas snu. Ciche macki nocy pieściły ich ciała, tulili się do siebie otoczeni świetlistym kręgiem płonących świeczek, który delikatnie kołł ich zranione dusze

Dżdżysty poranek cichej jesieni wypełnił nagle odgłos grzmiącego dzwonu na starej drewnianej dzwonnicy, stojącej na skraju - nędznej jak i on sam - wsi Świętniki, gdzie dwadzieścia lat wcześniej przyszło mu się urodzić.

Donośny, przeszywający serca odgłos z wieży unosił się nad okolicą, dopełniając jednocześnie obrazu samotnie snującego się po błotnistej wiejskiej drodze orszaku żałobnego, składającego się z dwóch osób i kościstej, starej szkapę ciągnącej furmankę.

Furmanka chybotwała się na wybojach wypełnionych błotnistą breją. Obok niej, trzymając lejce szedł od urodzenia kulawy stary Szymon Maj, który będąc woźnicą, pełnił jednocześnie funkcję urzędnika kościelnego.

Po drugiej stronie furmanki podążał Antek Ligocki. Antek trzymał się jedną ręką burty, a drugą powstrzymywał niebezpiecznie chyboczącą się na wybojach trumnę zbitą z prostych, ledwo co z grubsza ociosanych, sosnowych desek.

Wiek trumny zostało zbite naprędcę z kilku drewnianych odpadów, prześwietlając otworami, przez które poranne, leniwe promienie światła ukazywały biel prześcieradła z owiniętą w nie zmarłą.

Nieboszczką, którą odprowadzano na cmentarz parafialny, by tam pogrzebać, była jego, jedyną dotąd na tym świecie, matka. Śmierć przychodziła do niej i odchodziła przez wiele tygodni. Czekać na jej ostateczne zdecydowanie, leżała tak w walącej się chałupie na swoim barłogu i nadstuchiwała powrotu syna z lasu.

W tym ostatecznym, dramatycznym momencie, gdy już wszelkie nadzieje ją opuściły, umierając i żegnając się z nim jednocześnie, zdążyła wyszeptać mu kilka przestroż.

- Antek, bądź zawsze sobą, synu. Pamiętaj, ubóstwo nie jest wstydem. Pamiętaj też o matce. Pamiętaj, ja będę zawsze z tobą. Choć już po drugiej stronie, ale będę nad tobą czuwać jako matka. - To powiedziawszy oddała ostatnie tchnienie.

Antek, dławiąc ból w sercu, drżącymi dłońmi pomógł zamknąć się powiekom matki, ucałował jej chłodne dłonie i splatając je ze sobą na piersiach, obwiązał drewnianym różańcem, z którym od tygodni się nie rozstawała.

Zaraz po śmierci matki Antek od leśniczego odebrał w lesie, gdzie pracował jako drwal, należne mu pieniądze na pochówek. Do pracy na wyrębie przez dwa dni nie poszedł, co by - jak orzekł leśniczy - nieopatrnie w żalu siekierą krzywdy jakie sobie nie zrobił.

Idąc tak z boku furmanki i podtrzymując trumnę z nieboszczką, zamyślił się. Ciężko mu było jako drwalowi zarobić na siebie, a na dodatek wspomagać w chorobie matkę. Miał jednak nadzieję, że...

Krzykliwe krakanie i wrzask podrywających się nagle przy drodze czarnych kruków przywróciły jego uwagę do żałobnej rzeczywistości. Widok głębokiego dołu, przy którym oczekiwało czterech chłopów, by spuścić w jego czeluść trumnę z ciałem jego matki, wyglądał jak otchłań piekieł. Nie, matka nie zasłużyła sobie na to. Jego matka na pewno już wcześniej trafiła do nieba. To tylko jej ciało spocznie wreszcie w spokoju, którego w bólu i męczarniach śmierci potrzebowała.

Głuchy łoskot spadającego piachu na trumnę rozdzierał serce Antka. Z trudem tłumiony szloch młodego mężczyzny, co rusz targał jego chudą, niedożywną pierś, obezwładniając całe ciało.

Gdy zaciekły furkot topat ustał, gdy już na cmentarzu pojawiła się świeża, kolejna mogiła, i gdy kościelny woźnica po odprawieniu końcowej modlitwy żałobnej podszedł, by pomóc mu zabrać się na furmankę, odmówił. - Pójdę sam - wyjaśnił, pojmując zarazem, że to zadecydowanie iż chce pozostać sam, zabrzmiało w jego sercu, jak wcześniejszy odgłos żałobnego dzwonu. - Sam, sam, sam...

- Matko, czy już tam jesteś i jest ci dobrze? - zapytał, zwracając się w stronę grobu.

- Czy na pewno jesteś w niebie? - pomyślał jeszcze.

Nad cmentarzem powoli zapadał zmierzch, a on ciągle tam tkwił i tkwił w tym samym miejscu, nie przesuwając się o krok od mogiły. Tkwił z głową nisko opuszczoną na piersi i splecionymi w bólu dłońmi, i modlił się. Za duszę matki. Na wszelki wypadek, gdyby Bóg nie zrozumiał jej wykrzyczanych w bólu gorzkich słów, które pod wpływem choroby czasami wypowiadała...

Odszedł, do swej pusty, walącej się chałupy, gdy słotny, październikowy dzień miał się ku końcowi, zwaliste, ciemne chmury napływające zza horyzontu kottowały się nisko, pograżając wszystko wokoło w smutku i braku dobrej nadziei.

Dwa tygodnie po pogrzebie matki Antka nadszedł dzień święta zmarłych, pogoda nic się nie poprawiła, chmury zalegały nisko, zalewając cmentarną ziemię gęstniejącą mżawką. Porywisty wiatr od czasu do czasu zacinął deszczem, zrywając z drzew brunatniejące liście.

Antek z gałązkami świerkowymi i kilkoma świeczkami w ręku przecisnął się przez wąską, podpróchniałą drewnianą cmentarną bramkę, przy której dwa sędziwe posążki aniołów swoimi obłupanymi kikutami wskazywały główną aleję cmentarza.

Przy grobie matki, modląc się klęczał najpierw na rozmokłej ziemi, a potem przysiadł na ławeczce, którą własnoręcznie zmontował pod rozłożystym grabem osłaniającym mogiłę od wiatru. Rozglądając się wokół, rozmyślał nad ułomnościami ludzkiej natury i kruchością życia. Nastrój, jaki tworzyła świąteczna sceneria z chyboczącymi na wietrze płomykami świeczek, nie tylko na niego działał przynębiająco.

- Cześć Antek. Miło cię zobaczyć. - Nagle zza rozłożystego grabu rosnącego przy grobie matki wyłoniła się kobieta postać. Antek przyjrzał się jej uważnie, ale nie rozpoznał w jej bladej twarzy nikogo znajomego.

- Cześć. Ale... my chyba się nie znamy - wydukał niepewnie.

W odpowiedzi dziewczyna złapała go za rękaw płaszcza i pociągnęła w swoją stronę.

- Wybaczaj, proszę - wyszeptwała. - Może się zmieniłam, wydorostałam, ale to ja, ta sama Maryla, z którą pasafeś onegdaj krowy.

- Maryla? To ty wybaczaj, ale ja znałem tylko jedną taką. Ona... - Nie dokończył, bo dziewczyna przyłożyła mu swą chłodną dłoń do ust, zatykając je, by nic nie mówił.

- Bałam się o ciebie, jak twoja matula zmarli. I szukałam cię, ale... wyprowadziłeś się gdzieś z chałupy w Świątnikach...

Antek stał i oniemiałym wzrokiem bacznie przyglądał się dziewczynie. I starał się sobie przypomnieć, czy to naprawdę jest ona, Maryna z ich wspólnej śródleśnej łąki, gdzie pasali krowy.

A Maryla trajkotała dalej. - Obiecałam twojej matce, że się tobą zajmę. No co? Nadal nie poznajesz? Grywałeś mi na wystruganej, z wierzbowej gałązki, fujarce.

- A tak! - Dopiero wyjaśnienie, że grał na fujarce, przywróciło mu jej obraz znad wartkiego potoku - Przypominam sobie jak... wpadłaś do potoku, a ja?..

I znów nie dokończył, bo Maryla zamknęła mu usta delikatnym, jak pajęczka nić, pocałunkiem.

- Opowiadaj, jak sobie radzisz bez matki? W czym mogłabym ci pomóc?



Co za pytanie? Pewnie, że bez matki ciężko samemu żyć na tym świecie. Tyle biedy wokół, a w chałupie ani ognia nie ma kto rozpalić, ani ciepłej stawy ugotować. Chcąc nie chcąc, Antek zaczął użalać się na swój los wiejskiego drwala. A że go jakiś czas w chałupie nie było? Za lepszą pracą do sąsiedniej wsi wywędrował.

Mówił, mówił, a Maryla słuchała, i uśmiechała się tajemniczo. Gdy opowieść skończył, odwrócił wzrok i z przestraszeniem dojrzał, że cmentarz opustoszał, a i jego świeczki zaczynały przygasać na grobie matki.

- Czas skończyć modlitwę - wymamrotał niepewnie.

- Musisz wracać - odezwała się wreszcie Maryla.

- Mnie się nie śpieszy. Nikt na mnie nie czeka - odpowiedział Antek.

- No to się mylisz - zaprotestowała dziewczyna. Ja czekałam na ciebie. Czekałam, żeby ci powiedzieć, co przyrzekałam przed jej śmiercią twojej matce, powtórzyła raz jeszcze, że zaopiekuję się tobą.

- Ty? Jak to ty, Maryla? - przypomniał sobie wreszcie Antek.

- Skoro to ty jesteś tą dziewczyną, którą usiłowałam wyciągnąć z wartkiego nurtu strumienia to..., ty przecież nie żyjesz!..

- Ja tak, masz rację. Jestem po tej samej stronie, co twoja matka. Ale jest inna Maryla, która wodzi oczami za tobą. Oczekaj, aż minie ci żałoba i idź do niej.

Dopiero teraz Antek poczuł przejmujący chłód, obezwładniający jego ciało. Śnił? Czy to duch był tylko? - Tej Marylki, która razem z nim w dzieciństwie pasafa krowy, i której nie udało mu się uratować, gdy nieopatrznie wpadła do wartkiego strumienia?

Stał przez chwilę, trwając w zamyśleniu. Skoro tak... i skoro matka obiecała mu, że będzie nad nim czuwać, to przecież nie może być inaczej.

W nocy Marylka przyszła do niego raz jeszcze. Przyszła podczas snu. Ciche macki nocy pieściły ich ciała, tulili się do siebie otoczeni świetlistym kręgiem płonących świeczek, który delikatnie kołił ich zranione dusze.

Szczęśliwy sen prysnął nad ranem, gdy za oknem w jego podupadłej chacie rozbłyły pierwsze słoneczne promienie. Marylki przy nim nie było, zniknął też krąg ulotnego szczęścia, gdy byli razem. Ale... pomny jej słów, które wypowiedziała na cmentarzu, niebawem rozejrzał się po wsi, dostrzegając... inną Marylkę.

A gdy minął mu rok obowiązkowej żałoby po śmierci matki, wziął ślub z córką kościelnego Marylą Maj i stworzyli szczęśliwą rodzinę.

Zofia Smalewska, Bąkowo

Nowe Książki

„Stany nagłe”

„...skoro myślą niech nie myślą ze za tobą zginę/póki z twojej potylicy jeszcze polska płynie” - fragment wiersza „Pieta polska” Mateusza Bruckiego, dedykowanego autorowi, posłużył za motto do najnowszego tomiku wierszy Jerzego Fryckowskiego - „Stany nagłe”

Nad tomikiem tym autor pracował kilka lat. Większość zamieszczonych w nim wierszy była nagrodzona i wyróżniona w różnego rodzaju konkursach. Były także publikowane w prasie i wydawnictwa pokonkursowych. Tomik składa się z kilku części. Jest cykl poświęcony rodzicom, cykl poświęcony Broniewskiemu czy odnoszący się do obecnej sytuacji w Polsce, a także cykl listów. Ten ostatni nazwany „Listami z ciepłych krajów” ma finalnie realizować się u odbiorcy, gdyż tak naprawdę do końca nie wiadomo, czy są to listy z zagranicy, szpitala czy domu obłąkanych. Trzeba przyznać, że tomik czyta się bardzo dobrze, nie po raz pierwszy mamy do czynienia z bardzo dojrzałą poezją, bogatą w przemyślenia i często trudną do ostatecznego rozszyfrowania, ale przez to jeszcze ciekawszą. Fryckowski

to gwarantowana marka, przy lekturze jego wierszy nie będzie straty czasu, obojętności, niezadowolenia. Można być, co najwyżej bardzo poruszonym lub wzburzonym opisywanymi zdarzeniami, stanem świadomości poety i jego lirycznych bohaterów.

Tomik zawiera kilka barwnych ilustracji do konkretnych wierszy, których autorką, zresztą tak samo jak projektu okładki, jest Dorota Kędzierska, była uczennica Fryckowskiego (jest nauczycielem), plastyczka, mieszkanka Krępy Słupskiej. To, trzeba też szczerze przyznać, dodaje tomikowi dodatkowego waloru i jeszcze większej zagadkowości. Leszek Żuliński - znany krytyk literacki, poeta, publicysta i felietonista tak pisze o poezji autora tomiku „Stany nagłe”: „Wiersze Jerzego Fryckowskiego są wszędobylskie. Drobiazgi, szczygóły... pulsujący pejzaż przeżywanego czasu i zdarzeń. Świat zatrzaśnięty w ciągle obecnej teraźniejszości. Mądrze i empatycznie rozmyślany. Fryckowski jest „reistyczny”, to znaczy stąpa po ziemi, a ściślej - po konkretności. Swoista prostota znakomicie tu współgra z metafizycznym nastrojem.” Ale wydawca tomiku na jego okładce przytacza też inne recenzje: „Nie czytajcie Jerzego - będziecie szczęśliwsi” (Tadeusz Buraczewski), „Wiersze wciskają w głębię.” (Zdzisław Kaczmarek), „Jest to poeta umykającego (jak u Leśmiana) istnienia” (Jan Tyborczyk). Zachęcam do lektury. (z)



Jerzy Fryckowski, „Stany nagłe”, Wydawnictwo Jasne, Pruszczyk Gdański 2017, ISBN 978-83-65703-10-1. Publikacja częściowo została sfinansowana z przyznanego autorowi stypendium Starosty Słupskiego.



Dziękuję mu za jego przeszłość i za to... że swoją działalnością mogłem się przyczynić do wydania nowego tomiku. Ale taki właśnie jest sens pracy redakcyjnej i wydawniczej, której się oddajemy w starostwie słupskim. Tomik nie jest okazały, zaledwie 57 stron i tyle samo zamieszczonych w nim wierszy autora, dłuższych i krótszych. Ma kolorową zachęcającą do wzięcia do ręki okładkę, wydał go bytowski „Kurier” s.c. - wydawca wielu innych tomików

bytowskich poetów. Na okładce wydawca napisał: „Henryk Czyż, urodzony w 1942 roku w Gródku k. Czarnolasu. W Bytowie pracował w Powiatowym Domu Kultury, działał w Zespole Pieśni i Tańca „Bytów”, był też nauczycielem. Po wypadku, który uczynił go inwalidą, zaczął pisać poezję. Jest piewcą miasta, jego ludzi, przyrody, zakamarków, przeszłości. Spotkamy go idącego pomału o lasce lub siedzącego w parku, na skwerze. Przygląda się, zastanawia, a potem przemyślenia przelewa na papier. Bywa, że w jego utworach nie znajdziemy zachwyty czy zdziwienia, ale krytykę, wskazanie tego, co mu się nie podoba. To takie jego poetyckie komentarze do całkiem prozaicznych spraw. Od lat publikuje na łamach „Kuriera Bytowskiego”, którego jest „dyżurnym poetą”. Bywa, że jego poezja pojawia się też gdzie indziej, najczęściej w publikacjach kulturalnych, zbiorach wierszy itd. Może się też pochwalić własnymi

„Uścisk starości”

„Dziękuję za wspomnienie o mnie. Zmobilizowałeś! Wydałem jedenasty tomik wierszy” - napisał Henryk Czyż z Bytowa na stronie tytułowej swojego najnowszego tomiku „Uścisk starości” i przesłał na nasz redakcyjny adres

tomikami, jak np. „Furkoty myśli”, „Stuka moje serce nierówno”, „Intymny rytm”, „Kaszubskie astry”, „Ptaki przynoszą mi słowa” czy ten najnowszy „Uścisk starości”. Choć nikt nie policzył dokładnie, na jego twórczość składa się ok. tysiąca utworów. Należy też do bytowskiego Klubu Literackiego „Wers”. To jedna z najbardziej charakterystycznych postaci naszego miasta”. I dobrze, że taka wspaniała postać krąży po Bytowie, zapisuje w swojej poezji życie miasta, jego ludzi i zdradza to, co w duszy jej gra. Poezja H. Czyża od jakiegoś czasu jest też mocnym filarem naszych powiatowych antologii, za co jesteśmy mu wdzięczni.

Czytelników zachęcam do lektury wierszy umieszczonych w najnowszym tomiku - bo to wytrawna poezja! (z)

Henryk Czyż, „Uścisk starości”, Kurier s.c., Bytów 2018, ISBN 978-83-946755-4-7.

„Słupsk wierszem malowany”

Mamy nowy, okazały tom wierszy Marii Szymańskiej, słupskiej poetki, urodzonej w 1935 roku w Paczółtowicach w województwie małopolskim. To już trzeci, po „Samotnym tangu” (2014) i „Kalinowych łzach” (2016)

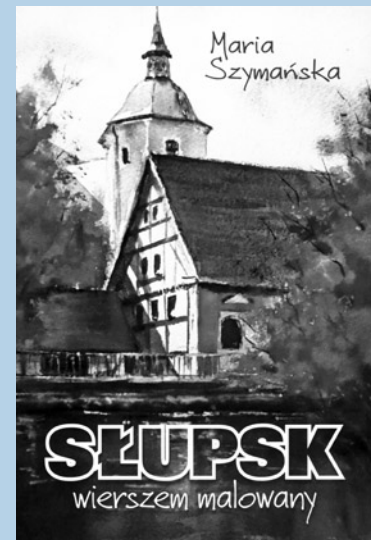
„Przytuliło mnie miasto do siebie/Mnie niczyją, nieznaną nikomu/Tu znalazłam swą przystań życiową/Cztery ściany przyjaznego domu.//Znów zakwitnie lipa rozłożysta/Mirabelki bielą się ustroją/Białe mewy kotują nad - Długą/Bliską sercu - od lat tylko moją!” - tak zaczyna na stronie tytułowej swój tomik Maria Szymańska. A prezydent Słupska Robert Biedroń zaraz zachęca: „Z niezwykle przyjemnością zagłębiam się w lekturę wierszy Marii Szymańskiej. Jej poezja przesycona jest prawdziwym patriotyzmem, zarówno tym wielkim, pisany przez duże „P”, jak również tym codziennym, związanym z jej małą ojczyzną - Słupskiem. Wrażliwość, umiejętność oddawania nastroju chwili, a także emocji towarzyszących nam w drodze przez życie, wciąż i fascynuje. Jestem dumny, że pośród mieszkańek naszego miasta jest tak ważna postać jak Pani Szymańska, której postawa i twórczość mogą być inspiracją dla nas i dla przyszłych pokoleń”.

Najnowszy tom wierszy poetki został podzielony na kilka części, są w nim wiersze poświęcone wiekowi, miastu, pomorskim mozaikom i słupszczyanom - najwięcej jednak miastu, czyli Słupskowi, co wydaje się zrozumiałe ze względu na lata życia, jakie spędziła już w nim ta słupska poetka. Słupszczenie odnajdą w liczącym prawie 170 stron tomiku znane sobie miejsca, między innymi kawiarenkę przy Mostnika, lodziarnię przy Nowobramskiej, ratusz, ulicę Długą, kino Milenium, Stawek Łabędzi, aleję brzożową, a także Basztę Czarownic. Są także strofy poświęcone Ustce i najbliższym okolicom Słupska. Okładkę, grafiki i fotografie wykonali synowie poetki - Leszek i Bogusław Brzezińscy, córka Karin Szczurowska oraz wnuczki - Marta i Julia Palacz.

Panią Marię prezydent Słupska Robert Biedroń spotkał w Kawnie i - jak opowiadał na promocji książki w ratuszu - oczarowały go jej opowieści o erotykach, które pisze do szuflady, kilka z nich nawet miał okazję przeczytać i ma nadzieję, że kiedyś także zostaną upublicznione. Kiedy usłyszał, że jej kolejny tomik będzie o Słupsku, nie miał wątpliwości, że miasto powinno wesprzeć jego wydanie. I tak też się stało - jego druk został sfinansowany z funduszy Urzędu Miasta Słupska. (z)

Panią Marię prezydent Słupska Robert Biedroń spotkał w Kawnie i - jak opowiadał na promocji książki w ratuszu - oczarowały go jej opowieści o erotykach, które pisze do szuflady, kilka z nich nawet miał okazję przeczytać i ma nadzieję, że kiedyś także zostaną upublicznione. Kiedy usłyszał, że jej kolejny tomik będzie o Słupsku, nie miał wątpliwości, że miasto powinno wesprzeć jego wydanie. I tak też się stało - jego druk został sfinansowany z funduszy Urzędu Miasta Słupska. (z)

Maria Szymańska, „Słupsk wierszem malowany”, Parafia Ewangelicko-Augsburska św. Krzyża w Słupsku, Słupsk 2018, ISBN: 978-83-926018-9-0.



Umieszczony na okładce wpis pochodzi z publikacji „Historia pewnego lustra” autorstwa Anny Łozowskiej-Patynowskiej. Z kolei prof. Zbigniew Zielenka - profesor literatury Akademii Pomorskiej w Słupsku, prozaik, eseista i publicysta oraz scenarzysta telewizyjny, niekwestionowany autorytet literatury w zamieszonym w tomiku swoim słowie „Setnik wierszy” napisał: „Gdyby tak przytaczać te najbardziej poruszające wiersze, a chciałoby się je przytaczać w całości, nie tylko ze względu na ich

treść i przesłanie, ale oczywiście przede wszystkim na ich wagę poetycką, powstałaby jedna z najciekawszych (wzruszających) antologii wierszy kobiecych o miłości, erotyków bez obiektów zmysłowości, za to oryginalnych przez ich głęboko egzystencjonalną wymowę.” I wcześniej: „Najbardziej wyraziste (...) są wiersze demaskujące ludzką hipokryzję, obłudę, egoizm, bezdusność... Bo same te wiersze mają duszę! Odkrywa się ją po dłuższym czytaniu. Odkrywa się Poetkę nieograniczającą swe poetyckie wypowiedzi do realizmu, do

Lalki nie płaczą

„Poezja autorki jest niekiedy subtelna jak jej kobieca natura, zatem wpisać ją można w typ liryki niezwykle wrażliwej, poruszającej emocje najbardziej wymagającego czytelnika” - czytamy na okładce najnowszego tomiku wierszy Teresy A. Ławeckiej „Lalki nie płaczą”

przedmiotowości - choćby nawet człowieka, do naturalistycznych określeń czy refleksji. Można wprost powiedzieć, że w wielu fragmentach tej poezji mamy do czynienia z prawdziwą filozofią, i to nawet dosięgającą metafizyki.”

Wierszy do przeczytania w tomie tym jest ponad sto. Nie ma w nim takich, które można by pominąć lub być wobec nich obojętnym, a to już wyłącznie zasługa poetki, która twierdzi, że największą nagrodą dla poety jest „dotknięcie słowem duszy Czytelnika”. (z)

Teresa A. Ławecka, „Lalki nie płaczą”, wyd. I, nakład 400 egz. Słupsk 2017, ISBN 978-83-948147-0-0.

„Dotyk”

Bogumiła Skomoroko - malarka i poetka ze Słupska ma swój tomik wierszy - „Dotyk”. Wcześniej publikowała w prasie i wiersze zamieściła m.in. w tomiku „Słowem malowane”, wydanym w 2011 roku przez Związek Nauczycielstwa Polskiego w Słupsku

„W swojej wędrówce przez życie zatrzymałam się na chwilę. I tak powstały moje wiersze - emocjonalny zapis codzienności, zadziwień nad urodą pomorskich pejzaży, wspomnienia, a także refleksje nad życiem i przemijaniem - dzieli się autorka swoją radością z tomiku. - W jednym z moich wierszy nazwałam czas - złodziejem losów ludzkich. Może dlatego, że często okrada je z marzeń, możliwości ich realizacji, pozbawia mocy, miesza jak w tygł uczuciami - jest nieprzewidywalny. Dużo miejsca poświęciłam wspomnieniom z domu rodzinnego, podróżom i przede wszystkim fascynacji przyrodą. I tę potrzebę artystycznej wypowiedzi wyraziłam nie tylko w słowach, ale również w malarstwie. Dlatego w tym tomiku znajdują się też reprodukcje moich obrazów.”

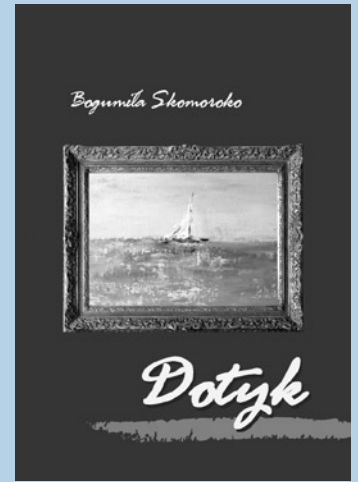
Z kolei autorka wstępu zatytułowanego „Te wiersze, to apetyt na życie”, dr Marianna Borawska tak zachęca do lektury tomiku: „Skąd się biorą wiersze, gdzie tkwi źródło poetyckiego natchnienia? Kiedy czytamy utwory Bogumiły Skomoroko

znajdujemy odpowiedź na te pytania. To po prostu apetyt na życie, zachwyt nad zjawiskami przyrody i uczucie szczęścia, którymi Autorka dzieli się z czytelnikami. A źródłem inspiracji, zadumy czy refleksji bywa oglądanie starych zdjęć, spacer po lesie, zatrzymanie się i spojrzenie w górę, by podziwiać obłoki mknące po niebie. We wszystkim, co nas otacza na co dzień, w każdej porze dnia, we wspomnieniach Bożego Narodzenia, w przedmiotach i roślinach razem z

Autorką odkrywamy piękno otaczającego nas świata. Zebrane w tym tomie wiersze to przede wszystkim niezwykle malarskie pejzaże.”

Tomik otrzymał sztywną oprawę, jest starannie wydany, zawiera też 25 kolorowych reprodukcji obrazów autorki, dobranych do niektórych wierszy, ciekawie je ilustrujących. Mamy zatem tomik-album ostatnich twórczych dokonań malarki i poetki, na co dzień w malarstwie współpracującej ze Słupskim Ośrodkiem Kultury, a w poezji - ze Starostwem Powiatowym w Słupsku. Doprawdy przednia to lektura i godna polecenia. **(z)**

Bogumiła Skomoroko, „Dotyk”, Starostwo Powiatowe w Słupsku, Słupsk 2018, ISBN 978-83-60228-81-4. Druk tomiku został sfinansowany z przyznanego autorce stypendium Starosty Słupskiego i ze środków Związku Nauczycielstwa Polskiego - Oddziału w Słupsku.



Smak samotności

Czasami robię sobie pulpety, na jarmarku kupuję pajądę chleba ze smalcem, ale nigdy nie mają one nawet zbliżonego smaku. Brakuje grabowieckiego aromatu, tajemniczych proporcji przypraw, naszego wspólnego śmiechu, gwaru i zaparowanej kuchni w bloku z małym oknem

Właściwie nie tęsknię za miastem, gdzie się urodziłam i wychowałam. Zwłaszcza teraz, gdy rodziców już tam nie ma. Zawsze chciałam się stamtąd wydostać. Myśl tę miałam w głowie, odkąd tylko pamiętam. W szkole średniej często wyjeżdżaliśmy do Warszawy, do Gdańska. Jeździliśmy do teatrów, muzeów, wielkich sklepów, których u nas nie było. Miałam przeczucie, że kiedyś wyjadę. Na zawsze. Będę pracować w wysokim szklanym budynku. Koniecznie z windą. Na ostatnim piętrze. Wokół wielkomiejski hałas, szum samochodów, gwar ludzi, odgłosy ulicy. Dom rodzinny, mieszkanie w wieloklatkowym bloku na dużym osiedlu, wszystkie bloki obite sidingiem, właściwie nie do odróżnienia.

Jednak trafiłabym tam jeszcze dziś z zamkniętymi oczami. Pod klatkę z wiecznie zepsutą klamką i dalej na czwarte piętro, mijając piętnaście innych mieszkańców. Bez windy. Dlatego

jak chciałam kanapkę albo coś do picia, albo sweter, bo zrobiło się zimno, zawsze krzyczałam pod oknem: - Ma-a-amooooo!!! Maaaamooooo!!! Kanaaaaapkę!!

Najczęściej w tym samym momencie krzyczało kilkoro innych dzieci. Nawet tych, które mieszkały na parterze. Ale nie chciały być gorsze. Kanapka rzucona smakuje inaczej, niż ta przyniesiona z domu, nie mówiąc o tej, którą trzeba zjeść w kuchni umyтыми wcześniej rękoma. Zatem w pewnych odstępach czasu podwórka rozbrzmiewały różnobarwnym: - Maamoooo! Ma - Mo! Mamuuuuusiu! Sporadycznie: - Taaaatoooooooooooo!

Jak mieliśmy szczęście, to niedługo potem z okien spadały zawinięte w papier śniadaniowy lub gazety kanapki, jabłka lub chociaż piętki od chleba. Niekiedy równocześnie słysząc było zza firanek krzyki zręczliwych staruszek: - A ten znowu się wydziera, nie wejdzie na górę leń śmierdzący. Człowiek we własnym domu spokoju nie ma. - Ale my już wtedy zjadaliśmy zdobyte rarytasy. Porównywalimy zawartość. Czasami wymienialiśmy się po połowie. Jeżeli się opłacało. Dla mnie hitem była kanapka z placikiem ziemniaczanym. Imitacja schabowego. Z cukrem albo z solą i cebulą, na ciepło do obiadu, a potem w kanapce na zimno. Z przypieczonymi na ciemny brąz brzegami, nie do podrobienia.

Pojechałam tam niedawno, stanęłam pod blokiem i poczułam się jakby ktoś poprzestawiał mi w nocy ułożoną miśternie wieżę z klocków. Odnowiona elewacja, w „moich” oknach jakieś inne wzorzyste frany. Sąsiedzi już nie ci sami. Wielu się wyprowadziło, część umarło. Spędziłam tam najlepsze lata swojego dzieciństwa, ale ktoś zagrzebał moje wspomnienia. Podstawił innych ludzi, wymienił tło i pozamiatął

okruchy pod dywan. Do klatki nawet nie wszłam. Może tam zabiłoby mi mocniej serce. Jednak chyba przestraszyłabym się widoku innych drzwi wejściowych pod numerem 39.

Spełniłam swoje marzenie, mieszkam w dużym mieście, z perspektywami i widokiem na morze. Do mieszkania jeżdżę windą. Do pracy również. Mijam kolejne piętra szklanego budynku. Piętro piętnaste i piąte. Moje rewiry.

Na piątym piętrze jest restauracja. Teraz nie ma już stołówek czy jadłodajni. Jest restauracja o światowej nazwie „Oregon”. Smaki świata zamknięte w kilkunastu metrach kwadratowych. Zamknięte bardzo szczelnie w stoikach, w puszkach i torebkach. W szklanych gablotach, matowych kolorach, zgrzanych brzegach folii. Jadam tu drugie śniadanie, obiad, czasami podwieczorek. Po tylu latach powinno mi być już bliskie to miejsce. Przecież jadam tam posiłki, najważniejsza czynność dnia. Kilkadziesiąt razy w miesiącu, setki razy w roku, nie jestem w stanie już tego policzyć.

Przez ten czas w „Oregon” wiele się zmieniło, krzesła, kolor ścian, obrazy z klasycznych krajobrazów na abstrakcyjną grafikę. Nie zmieniła się jednak atmosfera. Pustka, cisza i samotność. Każdy wbiega, szuka ustronnego miejsca, wyjmuje laptopa, notebooka i zamyka się w swoim świecie. Jedzenie nie jest tu najgorsze. Mam jednak zawsze wrażenie, że jest przygotowywane dużo wcześniej. A nawet, że niektóre dania zostają z poprzedniego dnia. Wszystko pokryte jest taką ledwie wyczuwalną skorupą oczekiwania. Nigdy nie jest za gorąco. Zawsze w sam raz do jedzenia. Gdyby się ktoś zapomniał i nie zjadł tuż po przyniesieniu dania przez kelnerkę, za chwile musiałby jeść zimne.

Zawsze jem sama, więc nie ma zagrożenia, że się zagadam, muszę tylko pamiętać, żeby odłożyć książkę. Najczęściej biorę kawę, sałatkę i jakieś grzanki. Nie korzystam nawet z całej karty dań, zamawiam zawsze przystawki, nawet na obiad. Rzadko jem mięso. Chyba jeszcze wciąż mam zapasy z domu. Takie stoiki pochowane w żołądku.

Moja rodzina kochała mięso. W każdej postaci. W każdej ilości. Ale musiało to być mięso ze znanego źródła. Najczęściej od ciotki Reni. Mazowiecka wieś Grabiowiec to królestwo wujka Stefana. Wzór gospodarza nie tylko dla sąsiadów. Uważał, że człowiek ze wsi powinien sam sobie wszystko wyhodować do jedzenia. Kupowanie w sklepie czegoś, co można samemu zasadzić, zebrać czy przerobić, to ujmą na honorze.

Jeździliśmy tam raz w miesiącu naszym maluszkiem, niezależnie od warunków na drodze. Bywało ciężko, zwłaszcza, gdy te warunki maluszkom nie sprzyjały. Padał śnieg, droga oblodzona, mróz siarczysty, ale my odważnie w trasie. Nawet za cenę pchania gasnącego co jakiś czas samochodu po śliskiej jak szklanka polnej drodze.

Dojeżdżaliśmy najczęściej przed 11.00, ale u ciotki czekał już rosół albo czernina, do tego nierówny, zawsze lekko szarawy makaron



własnej roboty. Spędzaliśmy tam cały dzień. Rodzice pomagali w gospodarstwie, a my z kuzynami snułyśmy się po podwórku lub po ogromnym domu. Późnym wieczorem wracały z nami wypatroszone kury, gęsi, wiadro wypełnione jajami, butelki z mlekiem i inne skarby grabowieckie. Raz na kwartał wracał z nami świniak w kawałkach. Ciężył w bagażniku na tyle, że koła mocniej wciskały się w asfalt.

Świniak był zapowiedzią tego, co się będzie działo w domu następnego dnia. O świcie jeszcze leżąc w łóżku, czułam zapach palonego tłuszczu i budziło mnie skwierczenie skwarek do smalcu. Maszynka przykręcona do stołu czekała na zmielenie mięsa. Garnki z gorącą wodą - na przyjęcie setek pulpetów. Obok gotowała się już kasza gryczana. Gdzieś wąską strużką do nozdrzy przedostawał się nieprzyjemny zapach zwoju flaków. Z piwnicy tata przynosił wielką różową balię, do której potem wrzucaliśmy składniki na kaszanke. Lubiłam te wspólne pichcenie, zwłaszcza jak klęczeliśmy nad tą michą w kolorze małej różowej świnki. Mama z niewiarygodną szybkością i wprawą napychała flaki, a my z siostrą wiązałyśmy końcówki. Tata wrzucał pętka do wrzątku, a ugotowane układał na półmiskach. Praca jak przy taśmie produkcyjnej. Nie wyobrażam sobie, jak mogłoby się obyć bez któregoś etapu. Cały nasz dzień był wypełniony mieszaniem, dodawaniem, przyprawianiem i segregowaniem. Każdy skrawek małej kuchni był zastawiony miskami, talerzami różnej wielkości i garnkami. Późnym wieczorem najczęściej już mogliśmy próbować wszystkich wytworów. Jeszcze gorąca kaszanka parzyła usta, pulpety parowały pod sufit, a smalec rozpyływał się po chlebie. Wyjątkowość tej mieszanki jest nieporównywalna do niczego. Czasami robię sobie pulpety, na jarmarku kupuję pajdę chleba ze smalcem, ale nigdy nie mają one nawet zbliżonego smaku. Brakuje grabowieckiego aromatu, tajemniczych proporcji przypraw, naszego wspólnego śmiechu, gwaru i zaparowanej kuchni w bloku z małym oknem.

Siostra studiowała zaocznie niedaleko Międzyrzeca. Potem znalazła sobie pracę na miejscu, wyszła za mąż, ma dwoje dzieci. Tak jej dobrze. Rodzice, przyjaciele, niedzielne obiady, spacerzy do jedynej w okolicy lodziarni, mniej lub bardziej przyjazne otoczenie, ale wszystko bezpiecznie znajome.

Ja chciałam wyjechać, nauczyć się życia w wielkim mieście. Im większym, tym lepiej. Znaleźć dobrą pracę, awansować, chodzić do kina, teatru, gubić się w tłumie ludzi i nie wracać już do tej małej, ciasnej miejsciny. Przez kilka lat zdołałam zbudować wokół siebie namiastkę osobistej przestrzeni. Z sąsiadami z bloku mówimy sobie dzień dobry, podpisujemy listy z ogłoszeniami ze wspólnoty mieszkaniowej, nie wchodzimy sobie w drogę. Każdy żyje własnym życiem. Nie wiem, jak budowane są teraz bloki, ale nie słychać już w toalecie wszystkich sąsiadów z pionu. Nie wiadomo, jakiej stacji radiowej słucha Kowalski, ani nie czuć, co ma na obiad ten spod dziesiątki. Pod oknami nikt nie woła o kanapkę i nie puszcza samego psa na podwórko. Dlatego jest tu taka cisza. Nawet ją polubiłam, bo pozwala mi odpocząć od ciągłego gwaru i szumu w korpo, czy na ulicach w centrum. Nie wiem tylko jak wpływa na trawienie. Dlatego rzadko jem w mieszkaniu. Wolę jeść na mieście, gdzie mam poczucie wspólnoty. Mimo iż każdy wpatrzony jest w swój talerz i szybko wypija małe tyki kawy. Łatwiej mi sobie wyobrazić, że znowu siedzę z rodziną przy prostokątnej ławie, a mama zaraz wróci, bo tylko wyszła do kuchni dolać do wazy trochę gorącego barszczu, ze szczyptą natki pietruszki i pieprzu.

Agnieszka Gałęziewska, Karczemki

Opowiadanie nadesłane na Pomorski Konkurs Literacki dla Nauczycieli - 2017 zorganizowany przez Pedagogiczną Bibliotekę Wojewódzką w Słupsku.



Małgorzata Sompolska-Patyk - Słupsk

Mieszka w Słupsku od wielu lat. Studiowała w słupskiej Wyższej Szkole Nauczycielskiej, a następnie ukończyła studia magisterskie na Wydziale Pedagogiki Artystycznej Uniwersytetu im. M. Kopernika w Toruniu i studia podyplomowe w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Przez wiele lat pracowała jako nauczycielka sztuki w szkole w Przechlewie. Animatorka kultury, harcmistrz ZHP. Pisze poezję i prozę. Laureatka wielu konkursów ogólnopolskich i wojewódzkich.. (z)

IDE...

Zmęczenie i szukanie schody to bez celu poręczę długie nadzieje zapamiętajcie moje myśli muskanie palców które obawiają się starcia linii papilarnych

MOJE ŻYCIE

I nikt,
i nic,
chmury ciemne.

Gwiazdy zemdląły,
dróg nie widać.
Miejsce bez mnie.

I ktoś,
i coś,
niebo jaśniej.
Gwiazdy we mnie
jak światło w tunelu.
W duszy dnieje.

Zawsze
i wszędzie -
- tu i teraz -
nagle odkrycie.

Kawa w ogrodzie,
rosa na rżesach.
Moje życie.

ŁUSKANIE PAMIĘCI

Strąki pamięci
odrywam
od pokrętej łodygi
życia
Stać mnie na dobrą wolę
więc mam
naprawdę duże
możliwości.
Wyłuskuję mozolnie

zdarzenia
i emocje
a odrzucam
co nieistotne
Pozwalam
wtrącać się
dłoniom wrażliwym
aby nie zagubić
najważniejszego.
Łuskanie pamięci
kończy się
dobrym skutkiem -
- to co ważne
zawsze zostaje
ważnym.